

Lorin Amii

Kochanka hazardzisty

Wystarczył jeden pocałunek. Pękło to, co mogło ich powstrzymać. Pragnął jej, a co gorsza, ona w równym stopniu pożądała jego. Hazardzista! - jęknęła Vichy. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent uroku i sto procent oportunisty. Już raz w Las Vegas postawiła wszystko na jednego mężczyznę, i przegrała. Co sprawia, że teraz znowu zdaje się na ślepy los i rzuca swoje serce, jak rzuca się żeton na zielony stół do gry w kości? Tego nie wie. Jest za to pewna, że taki mężczyzna jak Ben Larkin może ją bardzo zranić. Tak długie pocałunki, taki intensywny smak jego ust, tyle kłopotów... Czy zagra o swoje serce w kasynie miłości w Atlantic City?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyglądało, jakby ta podróż miała się nigdy nie skończyć. Zanim w końcu dotarła nad wschodni brzeg Missisipi, Vichy zaczęła się czuć jak więzień we własnym samochodzie.

Rozluźniła nieco kurczowy uścisk na wysłużonej kierownicy i na jej nie umalowanych ustach pojawił się grymas. Jazda w tym samochodzie, zdecydowała, nie była idealnym sposobem spędzania najlepszej części każdego tygodnia. Ale mogłoby to nie trwać dłużej, mogłaby być teraz na Wschodnim Wybrzeżu, do cholery, jeśli mogłaby zawsze znowu je opuścić.

Autostrada rozwijała się przed nią jak asfaltowa wstążka. Vichy wpatrywała się w mijające ją samochody, podczas gdy w jej umyśle zaczęły ożywać wspomnienia z minionych tygodni.

Miała to. Którego dnia podjęła tę decyzję? We wtorek czy w czwartek? Nie mogła sobie przypomnieć, ale teraz to i tak nie miało znaczenia. Podjęła ją jednak i uczepliła się jej tak mocno jak teraz kierownicy swojego samochodu. Pojechała prawie wszędzie tam, gdzie mogła

pojechać. Odwiedziła zadymione pokoje hotelowe, bary, brała nocną pracę. Czy to naprawdę było podniecające? Tak — zdecydowała — naprawdę tak. Milion lat temu w jej oczach błyszczała ambicja, a marzenia były czyste i jasno wytyczone. Tak było, zanim lata i przejechane kilometry nie zaczęły odkładać się i przydawać jej ciężaru.

Autostrada ciągnęła się, a Vichy mrugnęła gwałtownie, by strząsnąć łzy, które nagle pojawiły się w jej oczach. Czymże są łzy, na miłość boską? — skarciła się ostro. Miała dwadzieścia dziewięć lat, i jeżeli nauczyła się czegokolwiek w życiu, to tego, że łzy nie pomagają i nic nie znaczą. Zaciśnęła palce lewej ręki i gwałtownie otarła wilgoć z policzków. Czas na kawę — pomyślała — gdy jej błękitne oczy mignęły na chwilę we wstecznym lusterku.

Spojrzała przed siebie i westchnęła z ulgą, gdy w niedalekiej odległości dostrzegła znajomy, czerwony dach restauracji Howarda Johnsona. Wjechała na wyboisty parking, automatycznie zerknęła w lusterko i skrzywiła się na widok bladego odbicia. Wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi, odcinając się od ciepła podbitej futrem kurtki. W twarz uderzył ją ostry, listopadowy wiatr, więc szybko ruszyła w stronę gościnnych świateł wydobywających się z okien restauracji.

Wewnątrz było cicho, tylko jeden stolik i dwa miejsca przy barze zajmowali goście. Vichy usiadła przy końcu kontuaru, zamówiła kawę u zmęczonej barmanki i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się mocno. Papierosy były jedną z rzeczy, które powodowały jej niezadowolenie z samej siebie. Przestała palić pół roku wcześniej tylko po to, by znowu zacząć dwa tygodnie temu, gdy wszystkie nieszczęścia i niepokoje zwały się jej na głowę. Wzdychając lekko, uśmiechnęła się słabo do barmanki, gdy ta postawiła przed nią filiżankę kawy. Potem zapatrzyła się w parującą, ciemną toń.

Był czas, gdy zmęczona szła do domu. Dawno miniony czas. Budziła się i stawała twarzą w twarz z rzeczywistością, nieważne jak przykrą. W tym świecie rozrywki nie mogłaby zdobyć ani sławy, ani pieniędzy. Odkryła, że ta prawda była jedną z najcięższych spraw, z jakimi miała do czynienia. Z westchnieniem podniosła filiżankę. Popijając gorącą kawę, spróbowała wyobrazić sobie reakcję rodziców na nie zapowiedzianą wizytę. Może powinna zadzwonić i uprzedzić ich o przyjeździe, ale wtedy musiałaby wyjaśniać szczegółowo wszystko, co dotyczyło jej życia na Wschodnim Wybrzeżu. Była zdecydowana nie zostawiać nie dokończonych spraw i nigdy nie wracać. Nigdy nie wracać. Ta myśl wbiła się w umysł, wytrącając z równowagi przyschnięte wspomnienie niepowodzenia. Faktem jest, że była tylko jedną z tysięcy, którzy nie odnieśli sukcesu, nie uwolnili się. Bardzo trudno pozbyć się marzeń. Otrząsnąwszy się ze zniecierpliwienia, Vichy zapłaciła za kawę i wybiegła do samochodu. Samochód wydał się jej czymś bardzo bliskim w zapadającym popołudniowym zmierzchu. Zanim wślizgnęła się za kierownicę, popatrzyła przez chwilę na nisko zawieszony chmury. Zanim nie rozdzieliły się i nie zmoczyły krajobrazu. Wtedy z jej bladych ust wydobyło się kolejne westchnienie. Dlaczego taka pogoda nie mogłaby się utrzymać przez kilka dni? Dlaczego — pyta — dlaczego? Vichy skarciła się z przebłyskiem humoru. Dlaczego pada? Na jej ustach pojawił się uśmiech i równocześnie z pierwszą zimną kroplą deszczu, która dotknęła jej policzka, w głowie zaczął rodzić się bezsensowny pomysł. Spojrzała w stronę motelu i stoczyła błyskawiczną walkę wewnętrzną — zostać czy jechać. Vichy nienawidziła prowadzić w deszczu. Pokusa, by przeczekać ulewę, prawie podkopała jej

determinację. Jednak wyprostowała ramiona, wcisnęła się za kierownicę i zatrzasnęła drzwi.

Przekonując samą siebie, że da radę włożyła kluczyk do stacyjki.

Dwie godziny później cierpły jej ramiona od ściskania kierownicy, bolały ją oczy od ciągłego wpatrywania się w drogę poprzez strugi deszczu. Zjechała więc na pobocze, gdy z wszechogarniającym uczuciem ulgi zobaczyła nowo wyglądający motel. Po załatwieniu formalności w recepcji rzuciła się na plastikowe krzesło w swoim pokoju i głośno jęknęła. Była mokra, było jej zimno i siedziała nieruchomo, podczas gdy deszcz wybijał monotony rytm na parapecie jedyne go okna w tym pokoju. To przykuwało jej uwagę. Zegarek na ręku nie wskazywał jeszcze pory zmierzchu, ale za oknem nie znajdowało się nic, poza ciemnością. Trzęsąc się Vichy podeszła do okna i pociągnęła za sznurek, zaciągając kwieciste zasłony.

Odwracając się plecami do deszczu, zdjęła sweter, odpięła spodnie i gdy opadły na podłogę, wyskoczyła z nich. Położyła rzeczy obok mokrych butów i weszła do łazienki. Odkręciła kurek z gorącą wodą i stanęła pod prysznicem. Umyła spłukane deszczem włosy, ale nie wychodziła spod gorącego strumienia, zanim nie przeszły jej dreszcze. Dzięki Bogu, w łazience były dwa ręczniki — Vichy wytarła się jednym, a drugim osuszyła włosy i okręciła go w turban na głowie.

Już chciała owinać się w ręcznik i wyjść z łazienki, gdy przypomniała sobie, że przecież zasunęła story, więc tak jak stała weszła do małego pokoju. Otworzyła walizkę, którą przyniesiono z samochodu, wyciągnęła świeżą bieliznę, sweter w łagodnym, różowym odcieniu i rudawe spodnie. Gdy podniosła się znad walizki, uchwyciła swoje odbicie w lustrze zawieszonym nad toaletką. Znieruchomiła jak posąg, zaczęła przypatrywać się sobie. Nie wyglądała najgorzej — metr osiemdziesiąt

wzrostu sprawiał, że nie zauważało się wagi ponad siedemdziesięciu kilogramów. Chociaż na głowie miała zawinięty ręcznik, spod niego wymykał się ciemnobrązowy kosmyk włosów. Błękitne oczy osadzone były głęboko w owalnej, jasnej twarzy. Vichy musiała sama przyznać, że jej twarz wygląda o wiele lepiej niż tylko sympatycznie. Była ciosem dla wydziału wyglądu. Uśmiech wykrzywił jej łagodne usta. Ale to, że tak właśnie wyglądała, dostarczało jej tylko bólu serca i powodowało, że zaczepiali ją mężczyźni, z którymi wcale nie miała ochoty się spotykać.

Jeden powiedział nawet, że jest czarująca. Grymas znowu wykrzywił jej usta, otrząsnęła się więc i odwróciła od lustra. Jakże głupia była. Wyszła za niego za mąż. Chociaż od czasu gdy ostatni raz go widziała lub słyszała o nim minęło ponad sześć lat, samo wspomnienie sprawiało, że czuła niesmak. Tak, to wspomnienie krótkiego i pokręconego związku nappełniło ją poczuciem przegranej.

Wyglądało, jakby odnosiła porażki na wszystkich liniach.

Wzdrygnęła się i przewycięzając to przykre uczucie zaczęła ubierać się przed wyjściem na obiad. Założyła koronkowy stanik, wsuwając ramiona w naramki i zapięła haftki, poprawiając jego położenie na piersiach. Po krótkich zmaganiach wskoczyła w cienkie majtki i wcisnęła się w przylegające do ciała spodnie. Zdjęła z głowy ręcznik i wyciągając ręce naciągnęła sweter. Przesunęła ręce wzdłuż karku wyciągając włosy i potrząsnęła głową, aby ułożyć fryzurę. Włosy opadły łagodnymi falami. Trochę pudru, lekkie pociągnięcie oka, czerwona szminka do ust i już była gotowa do wyjścia z pokoju.

Vichy złożyła zamówienie u kelnerki i nie zauważyła nawet, że w tym czasie natarczywie wpatrywał się w nią ten mężczyzna. Siedział parę stolików dalej w towarzystwie młodej, miłej kobiety, ale nawet gdy rozmawiał z nią, spojrzeniem dokładnie badał kształty Vichy. Gdy

wzrok zatrzymał się na jej twarzy, Vichy rozmyślnie spojrzała w inną stronę. Nie rzuciła już w jego kierunku spojrzenia, ale ta krótka chwila wystarczyła, żeby przypomnieli się jej Brad Ten mężczyzna przypominał go i Vichy, nie mając nawet pojęcia kim jest, poczuła współczucie dla siedzącej z nim kobiety. Jego twarz była pociągająca, prawie piękna, usta zmysłowe, oczy usypiające. I chociaż nie patrzyła już w tę stronę, czuła na sobie jego spojrzenie. Zirytowana prostactwem i upokorzona towarzystwem, Vichy szybko dokończyła posiłek i nie oglądając się wyszła z restauracji. W pokoju zdjęła spodnie i przewiesiła je przez oparcie krzesła. Mokra buty postawiła obok wentylatora i zaczęła przygotowywać się do spania. Było jeszcze wcześniej ale napięcie spowodowane jazdą w zacinającym deszczu uczyniło ją wystarczająco zmęczoną, by zasnąć. Była zła na siebie. Widok faceta przypominającego Brada wywołał wspomnienia, które wypełniły ją całkowicie. Wtedy gdy zaangażowano ją w Vegas, była naprawdę podniecona. To nic, że mieszkała w najmniejszym pokoju, najmniejszego hotelu... Najważniejsze było to że mieszkała w Las Vegas! Rozpoczęła pracę i już następnej nocy poznała Brada. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata i robiła wrażenie Brad, będący stuprocentowym oportunistą, nie pozbawionym jednak wdzięku, uzyskał całkowitą przewagę nad jej naiwnością. Do dziś pamięta słodkie kłamstwa, które mówił z taką łatwością. Boże, leży teraz w ciemności myśląc, że nadal wierzy we wszystko, co mówił. Jak bardzo musiała mu ufać! I jaką cenę za to zapłaciła! Niecałe dwa tygodnie po szybkim ślubie, do Vichy dotarło bolesne przeświadczenie że jedynym powodem, dla którego Brad zdecydował się na ten związek, była świadomość, że bez zalegalizowania małżeństwo nie istnieje. Po prostu, była dla niego wyzwaniem

Teraz, mając dwadzieścia dziewięć lat, ciągle jeszcze odczuwała ból tamtej dwudziestodwulatki o rozmarzonych oczach.

— Do diabła z tym!

Vichy z irytacją przewróciła się na łóżku i przyciągnęła do siebie poduszkę. Nie myślała o Bradzie, ani o ich krótkim, nieszczęśliwym związku od lat. A teraz z powodu faceta, który przypatrywał się jej z taką natarczywością, i który tak bardzo przypominał Brada, znowu zaczęła rozważać swoją porażkę — pierwszą z wielu...

Westchnęła i zamknęła oczy. Jak leciała ta piosenka? — przypominała sobie... coś, żeby nigdy nie zakochać się w hazardziście... Była żywym dowodem na to. Zakochała się swoją pierwszą, naiwną miłością w zwyczajnym hazardziście. Po pół roku pękła lśniąca bańka euforii. Znalazła swego męża w objęciach innej kobiety. Miała ochotę zabić ją. Ale to zabiło w niej zaufanie do mężczyzn, zwłaszcza hazardzistów.

Teraz po sześciu latach ból, który wtedy czuła, osłabł. Pozostał tylko smutek, że była kiedyś tak ufną idiotką.

Czysty przypadek zatrzymanej świadomości. Grymas wykrzywił jej usta, które ciągle zachowały młodą, bezbronną łagodność. Zaczęła się kręcić w biznesie rozrywkowym, mając dwadzieścia dwa lata i nie miała w tym dużego doświadczenia. Przez ponad rok pracowała w klubach i nie nauczyła się zbyt wiele o twardych realiach życia. Dojrzała do tego, aby zostać wykoszona przez doświadczonego podrywacza. Wychowana pod kloszem, w tym szukała usprawiedliwienia swojej naiwności.

Wspomnienie dzieciństwa przegnało smutne myśli. Teraz wracała tam, by zostać już na dobre. Nie jako tryumfatorka, tak jak zamierzała, gdy opuszczała dom przepelniona wielkimi, gorącymi nadziejami, ale jako pokonana, powłócząc nogami na wysokich obcasach. Przekonanie, że zostanie powitana z otwartymi ramio-

nami i łzami radości w oczach rodziców i młodszej siostry, pozwoliło jej zapaść w tak potrzebny sen. Pokonana czy tryumfująca, Vichy wiedziała, że zostanie powitana z radością. Taka była jej rodzina. Obudziła się wcześniej i po śniadaniu składającym się z kawy i soku znowu była na autostradzie. Na szczęście, nie śledziło jej, tak jak wczoraj wieczorem, zimne spojrzenie tego mężczyzny.

Myśl o tym, jak zostanie przyjęta, dodawała jej sił w czasie następnych dwóch dni drogi. Mijały długie godziny. Gdy dotarła do granic stanu Pensylwania, wzięła głęboki oddech. Wyraźnie czuła różnicę w zapachu powietrza w jej rodzinnych stronach.

Gdy wreszcie skręciła w tłąską, wyboistą drogę, prowadzącą do farmy jej rodziców, poczuła, że ramiona i ręce trzymane na kierownicy ciężą jej jak ołów.

Zamglonym wzrokiem wpatrywała się w dom swojej młodości. Błyszczące białą farbą okna, ciemnozielony, podcięty żywopłot na murze świadczyły, że jej zawsze zajęty ojciec w dalszym ciągu nie rozstawał się z pędzlem.

Otoczające dom podwórko, domena matki, było uprzątnięte i przygotowane do nadejścia zimy.

Grządka chryzantem rosnących naprzeciwko domu prezentowała swe rdzawo-złote wdzięki.

Na lewo, pomalowana równie starannie jak dom, stała stodoła używana jako magazyn i garaż dla dwóch samochodów. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Vichy przypomniała sobie nagle, jak zniszczyła silnik samochodu i zaciągnęła hamulec.

Głupie — pomyślała — każdy mógłby sądzić, że nie było cię tutaj ładnych parę lat, a naprawdę złożyła im wizytę nie dalej jak rok temu. Łzy napłynęły jej do oczu, lecz natychmiast otarła je drżącą dłonią. Rok temu była tu z wizytą — teraz wraca na zawsze.

Od skraju trawnika po prawej stronie domu wzrok

Vichy pobiegł do rosnącej opodal starej jabłoni. Westchnęła ciężko. Kołysząca się na linie przywiązanej do najgrubszej gałęzi opona-huśtawka wywołała gwałtowne poruszenie w jej wspomnieniach. Opona została tam zawieszona na długo przed jej narodzinami. Teraz wisiała jej replika.

Na pierwszej oponie kołysała się najstarsza siostra Vichy, pierwszy potomek Sweigartów — Mattilda — nazwana tak po swojej babce. Łagodny uśmiech przemknął przez usta Vichy. Jak Mattie nienawidziła swojego imienia! I jak ona, i jej brat Josh — Joshua nazwany tak po dziadku — dokuczali jej z tego powodu. Nagle uśmiech zniknął z jej warg — dzisiaj tylko ona i Josh, i oczywiście rodzice mogli nazywać ją tym imieniem.

— Vichy!

Krzyk siostry przerwał potok wspomnień i Vichy spojrzała w stronę małej postaci wybiegającej z otwartych drzwi domu.

Jako jedyna z czworga rodzeństwa odziedziczyła po matce nikłą posturę. I była też jedyną, która nie została nazwana na cześć dziadków.

Vichy swoje imię Victoria wzięła od babki ze strony matki.

Wychodząc z samochodu, Vichy przypomniała sobie chrzest siostry. Zdziwiony ojciec potrząsał siwą, mocną głową, gdy matka nadała jej imię Bette, bo takie imię nosiła jej ulubiona aktorka filmowa.

Przestała jednak o tym myśleć, gdy padły sobie w ramiona.

— Jak się tu dostałaś? Wiem, oczywiście, przyjechałaś samochodem, ale jak do tego doszło? To wspaniale, że przyjechałaś, ale co się stało? Wyglądasz super, ale...

— Powoli... — powiedziała Vichy przez śmiech. — Opowiem ci wszystko, jeszcze będzie czas, ale gdzie jest reszta? — trzymając siostrę w ramionach, Vichy spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

— Jest piątek? — zapytała Bette.

— Jeżeli dzisiaj rano wyjechałam z motelu, to jest piątek — zaśmiała się Vichy.

— W takim razie, gdzie mogą być? — Bette ponownie zatrzęsała się od śmiechu. — Są w Zielonym Smoku.

— Tak, gdzie indziej... — Vichy szturchnęła siostrę. Jakże to cudowne, że wszystko jest normalne i nic się nie zmienia. Nawet to, że jak co tydzień w piątek państwo Johanna i Luke Sweigartowie odwiedzają supermarket i wyprzedaż po drugiej stronie Ephrata.

— Będą zaskoczeni, gdy wrócą — powiedziała Bette. — Dlaczego nie uprzedziłaś nas o swoim przyjeździe?

— Uprzedzić i pozbawić się przyjemności oglądania ciebie skaczącej jak meksykańska fasolka? — odparła Vichy. — Co byś powiedziała, gdybyś teraz podskoczyła do samochodu i pomogła mi wypakować bagaże?

Po tym, jak sprzedała meble i kilka drobiazgów, które zgromadziła przez ostatnie lata, Vichy mogła zapakować swój dobytek do bagażnika. Bette szybko przebiegła wzrokiem po czterech walizkach i kilku małych kartonach, i chwilę pomyślawszy, zwróciła spojrzenie na Vichy.

— Nie wracasz do Kalifornii? — zapytała z nutą nadziei.

— Nie — Vichy potrząsnęła głową. — Poza dwoma wypadami w czasie wakacji do Atlantic City, zostaję w domu. Stanowczość, z jaką Vichy podejmowała postanowienia, nie była dla jej dwudziestoletniej siostry czymś nowym. Bette wiedziała, jak bardzo Vichy chciała odnieść sukces na polu rozrywki, z jakim uporem dążyła do celu.

— Naprawdę zdecydowałaś się? — zapytała lekko zdziwiona.

— Naprawdę — odparła stanowczo Vichy.

— Ale... — chciała zaprotestować Bette.

— Pomówimy o tym później — ucięła Vichy. — A teraz lepiej wypakujmy to wszystko z samochodu, zanim się ściemni.

W czasie gdy przenosiły walizki i kartony z samochodu do sypialni, którą Vichy zajmowała od piątego roku życia, Bette mówiła bez przerwy. Sypialnię zajmowała również Mattie, ale kiedy skończyła trzynaście lat, zażądała więcej prywatności. Josh, który wtedy miał dziewięć lat, również zgłosił swoje prawa do własnej sypialni na poddaszu. Ojciec spędził tam prawie całą zimę, piłując, heblując i stukając młotkiem, tak że na początku marca powstały tam dwie sypialnie z odpowiedniej wielkości komórką.

Na przebudowę, wykonaną przez ojca, Josh zareagował krótko: — może być, i zaczął przeprowadzać siebie i to co do niego należało piętro wyżej. Jego sypialnia na drugim piętrze pozostała pusta, dopóki dziewięć lat później nie pojawiła się Bette.

Było już zupełnie ciemno, gdy Vichy i Bette skończyły rozpakowywać walizki i schowały je do komórki.

— Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodna — powiedziała Bette, gdy schodziły po schodach.

— Zjadłabym coś i wypić kawę — westchnęła Vichy — ale najpierw chcę wziąć prysznic.

— Mama zostawiła garnek zupy jarzynowej, gdybym chciała coś zjeść, zanim wróci — powiedziała Bette, kierując się korytarzem do urządzonej na starą modłę kuchni.

— Podgrzeję zupę i zaparzę kawę, gdy będziesz brała prysznic.

— Dziękuję, kochanie — Vichy uśmiechnęła się z trudem. — Nie będę zbyt długo marudzić.

Zanurzyła palce w swoje długie, ciemnobrązowe włosy i weszła do sypialni. Przystanąła nagle, łapiąc swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Nie była specjalnie

przerazona widokiem patrzącej na nią młodej kobiety. Kobiety zniszczonej życiem, przegranej. Zatrzymała ręce w pół gestu i przez minutę oceniała swój wygląd. W tej chwili wyglądała na zmęczoną i widać było wszystko z jej dwudziestu dziewięciu lat. Ciemne smugi pod błękitnymi oczami na bladej cerze, usta i policzki całkowicie pozbawione kolorów...

Nagle opuściła ręce i gwałtownie odwróciła się od tej godnej pożałowania istoty mruczając pod nosem — Co za widowisko... Vichy nabrała już wprawy w maskowaniu zmęczenia jasnym makijażem, który przywracał wszystkie barwy jej twarzy. Pociągnęła nosem i doleciały ją zapachy z ciepłej, domowej kuchni — świeżo zaparzonej kawy, zupy jarzynowej i biszkoptów. To pobudziło jej apetyt.

Gdy Vichy weszła do kuchni, Bette pochylała się właśnie nad piekarnikiem i przewracała brązowo-złote biszkopty.

— Pokaz zdolności kulinarnych? — zapytała, gdy Bette wyprostowała się i odwróciła do niej. — Czy może tylko otworzyłaś pudełko?

— Ugryź się w język — upomniała ją Bette szczerząc zęby. — Zrobiłam je sama jak wszystkie oszczędne gospodynie domowe.

— Pachną cudownie — przyznała Vichy. — A zupa? Też sama gotowałaś?

— Nie — Bette potrząsnęła głową. — To jest dzieło mamy.

Wyjęła szybko gorące biszkopty z piekarnika i wrzuciła je do koszyka na chleb. Wyprostowała się i wyszczerzyła zęby. — Mama ciągle nie dopuszcza mnie do gotowania. Na przykład, gdy idzie do Cordon Bleu... Tata, jak wiesz, woli jej zupę jarzynową.

Przy długim, drewnianym stole przygotowane były dwa nakrycia. Vichy uśmiechnęła się łagodnie, siadając

na swoim miejscu. To miejsce przy stole było jej miejscem, od kiedy pamięta. Podniosła do ust pierwszą łyżkę zupy i wtedy ogarnęło ją uczucie, że jest naprawdę w domu. Jej zdaniem, nikt na świecie nie gotował takiej zupy jarzynowej, jak matka.

Delektując się smakiem, rozglądała się niespiesznie po kuchni, która była mieszaniną dawnej, wiejskiej stylistyki i współczesnych dodatków.

Obramowania szafek powyżej i poniżej zlewu były wykonane ręcznie przez cierpliwe ręce ojca z drewna i polakierowane. Boazeria pokrywała trzy ściany. Czwarta była wyklejona jasną, biało-pomarańczową tapetą. Sufit błyszczał bielą. Wszystko w kuchni, jak i w całym domu błyszczało czystością. Każdy szczegół wewnątrz i na zewnątrz domu świadczył o tym, że sześćdziesięcioletnia matka i o rok starszy ojciec ciągle znakomicie sobie radzą.

Gdy Vichy wyskrobała resztki z talerza i zjadła prawie wszystkie biszkopty, Bette napełniła filiżanki czarną, gorącą kawą i postawiła na stole ciasto z dyni.

— Poranny wypiek — zaanonsowała. — Pierwszy w tym sezonie.

— Wygląda wystarczająco dobrze, by go zjeść — uśmiechnęła się Vichy. — Nie jadłam placka z dyni od czasu, gdy byłam tu ostatni raz na Święto Dziękczynienia dwa lata temu.

— Cóż, więc spróbuj — Bette wykonała dumny zapraszający gest. — Cała przyjemność po mojej stronie. Mama upiekła dzisiaj cztery takie placki.

— Cztery? — zaśmiała się Vichy.

— Znasz mamę — uśmiechnęła się Bette. — Mówi, że nie może przyzwycząić się do gotowania na trzy osoby. Chowa zawsze dwa kawałki do zamrażarki na wypadek gdyby wpadli Mattie lub Josh.

— Mattie lub Josh — Vichy podniosła brwi. — Mattie

jest w Williamsport, a Josh w Easton, a ona spodziewa się, że wpadną?

— Cóż mogę powiedzieć? — Bette uniosła ramiona, podkreślając w ten sposób swoją wypowiedź. — Mama, to jest, cóż — mama. Nigdy się nie zmieni. Prawdopodobnie zatrzyma kondukt żałobny na swoim własnym pogrzebie i stwierdzi, że nie może iść właśnie teraz, bo musi najpierw ugotować kolację.

Chociaż Vichy w czasie opowiadania Bette rozpaczliwie potrząsnęła głową, musiała z uśmiechem przyznać jej rację, tak było to bliskie prawdy. Bette z zimną obojętnością na doskonałość wypieku pokroiła placek na kawałki.

— Mmmmm, cudowne — mruknęła Vichy po pierwszym kęsie. — Smakuje domem.

— Może dlatego, że to jest dom — uśmiechnęła się Bette. — Mówisz jak ktoś, kto był bardzo, bardzo bezdomny.

— Chyba dlatego, że byłam — Vichy spoważniała. — Tęsknota za domem, tęsknota za tym wszystkim.

Bette w milczeniu sprzątnęła ze stołu puste talerze i gdy dołała kawy do filiżanek, zapytała cicho: — Vichy, co się stało?

— Absolutnie nic — odpowiedziała z gorzkim uśmiechem. — W końcu odkryłam, że nic się nie może stać. Wstała, podeszła do baru, na którym zostawiła swoją torbę podróżną. Wyciągając z jej przepastnego wnętrza skórzaną papierošnicę odwróciła się do Bette. — Przegrałam w wielkim świecie — powiedziała dobitnie. Przerwała, by zapalić papierosa, zaciągnęła się głęboko i kreśląc niewidoczną linię westchnęła: — Nie stać mnie na ten nałóg. Jestem w finansowym dołku.

— Jesteś bez grosza?

— Cóż — Vichy skrzywiła się. — Powiedzmy, że jestem na bardzo ostrym zakręcie. Mam mało pieniędzy, diabelnie mało — na czarną godzinę... I pracę w czasie

wakacji. Ale od początku roku mam zamiar zapolować na jakąś poważną robotę.

— Czy naprawdę masz zamiar zrobić to, o czym mówisz — zawołała Bette. Porzuciłaś swoje marzenia o nagrodzie Grammy?

— Porzuciłam marzenia — odparła Vichy. — Nad moją głową zebrały się ciemne chmury. Teraz wiem, że nie będzie żadnej sławy, żadnej fortuny, żadne Grammy.

— Ale, Vichy... — próbowała zaprotestować Bette.

— Żadnych „ale” — przerwała Vichy i potrząsnęła głową. — Jestem zmęczona tym wszystkim — barami z pianinem, spelunkami, nawet małymi, przytulnymi klubami, w których i tak nikt nie słucha muzyki. Zacisnęła usta. — Jestem zmęczona facetami, którzy myślą, że jestem łatwym kąskiem. Boże — jej śmiech przeszedł w wysokie tony — jestem zmęczona ich zaklęciami i zaczepkami.

W ciszy, która nastąpiła po jej ostatnich słowach, Vichy zgasiła papierosa i bezwiednie zapaliła następnego.

— Przepraszam, kochanie — powiedziała łagodnie. — Naprawdę nie miałam zamiaru wypłakiwać się na twoich kolanach. Zawahała się i roześmiała, jakby chciała zbagatelizować to wszystko. — Sądzę, że jedyną rzeczą, którą powinnam zrobić, to wypłakać się przed mamą. Byłam osłaniana od wielu niezależnych wyobrażeń o sobie.

— Jesteś tym wszystkim naprawdę zmęczona, czyż nie? — twarz Bette wyrażała niepokój.

— Tak — uśmiech rozprostował usta Vichy i nadał im naturalną, miękką linię. — Jestem kimś w rodzaju nastoletniego zbiega. Zamiast oddalać się od domu, uciekam z powrotem do niego.

W tym momencie otworzyły się kuchenne drzwi i donośny głos przerwał Vichy jej wyznanie — Victorio Lynn Parks, dlaczego nie uprzedziłaś nas, że przyjeżdżasz do domu?! Gdybyśmy wiedzieli, nie wychodzilibyśmy nawet na moment.

ROZDZIAŁ DRUGI

Długo po tym, jak ucichły dzisiejsze głosy, Vichy leżała w swoim łóżku i wsłuchiwała się w głosy minionych dni.

— Pośpiesz się, ślamazaro. Nie chcesz chyba spóźnić się do szkoły pierwszego dnia?! —

Czternastoletnia Mattie poganiała ją, sześćioletnią, w tym samym pokoju.

— Hej, chudzielcu! — wołał Josh do stojącej na piętrze sześćioletniej Vichy. Na co ona — dzwoni twoja chichocząca dziewczyna...

— Czy mama umiera? — pyta ze łzami w oczach ośmioletnia Vichy.

— Oczywiście, że nie — zapewnia ją głos szesnastoletniej Mattie. — Mama wróci, zanim się spostrzeżesz z nowym braciszkiem lub siostrzyczką.

— Vic-key— Vich-ee-

— Vic-key— Vich-ee-

— Nie, nie Bette, to jest tak — czternastoletni Josh błaga osiemnastomiesięczną siostrę.

— Vickey. Powtórz tak...

— Vich-ee — wszyscy śmieją się z wysiłków Bette.

— W porządku — Josh podnosi ręce do góry. — Poddaję się. Niech będzie Vichy.

I tak już zostało.

— Głupek.

W ciemnym pokoju szeptała te słowa drżącymi ustami. Pod powiekami zaczęły cisnąć się jej łzy.

Usiadła na łóżku i objęła ramionami podkurczone kolana. Jedynym pragnieniem, które odczuwała, było przytulić Mattie i Josha do spragnionego miłości serca.

— Tak, istotnie — pomyślała wpatrując się w kołdrę pokrywającą jej kolana —jesteś bardzo głupia. Ale, Boże, to dobrze być w domu.

Łzy błyszczały w świetle księżyca, który perłową poświatą zalał jej łóżko i Vichy wróciła myślami do ostatnich godzin, które minęły od powrotu rodziców.

Fontanny łez trysnęły na pierwszy widok jej niskiej, pulchnej matki stojącej w kuchennych drzwiach z siatkami pełnymi zakupów w każdej ręce.

Drugi raz zalała się łzami, gdy chwilę po matce wszedł ojciec. Chwycił Vichy w objęcia i uściskał z siłą niedźwiedzia.

Matka wpadła na pomysł, by zadzwonić do Mattie w Williamsport. Vichy trzęsła się ze śmiechu, gdy echo słów jej siostry śpiewało w jej głowie.

— Wróciłaś na stałe do domu? — Mattie krzyczała z radości. — Och, Vichy, to cudownie! Idę o zakład, że mama i tata są uszczęśliwieni? Ale... czy mama już ci mówiła, w kwietniu będę babcią! A teraz ty będziesz tutaj, znowu będziemy wszyscy razem!

Teraz wspomnienie głosu siostry spowodowało, że łzy znowu napłynęły jej do oczu. Szukając chusteczki w pudełku na nocnym stoliku, Vichy oswajała się z tym, co powiedziała Mattie.

Mała Nan, pierwsza wnuczka jej rodziców, jest w ciąży.

To nieprawdopodobne. Slub Nan w sierpniu zeszłego roku Z tego powodu Viphy wpadła na chwilę do domu Jak pięknie wyglądali, dziewiętnastoletnia Nan i jej siedemnastoletnia siostra Brenda.

Wspominając to Vichy uśmiechnęła się w ciemności. Mattie mając trzydzieści siedem lat wyglądała znakomicie.

Ledwo Vichy zdążyła pożegnać się z siostrą, matka wykręciła numer telefonu Josha w Easton. Brat zareagował na nowiny nie mniej entuzjastycznie niż siostra

— Hej, to wspaniale! — Josh prawie krzyczał — Prawdopodobnie urządziłaś Dzień Matki i Dzień Ojca Dzień? Nie, ty im urządziłaś cały rok. Muszę o tym zaraz powiedzieć Caroline.

Vichy chichotała w cichym pokoju, śmiech powracał gdy przypomniała sobie, jak Josh przedstawiał jej swoją żonę w obecności małego syna. Tego było za wiele Śmiech przegnał łzy. Rozpuszczony Robert, pląga rodziny, w klasie tańca! Och, biedny instruktor tańca

Ostatecznie Vichy nie wypłakała się ze swych problemów na kolanach matki, ani nie krzyczała w przenośni, ani dosłownie. Rodzice przyjęli bez zadawania pytań jej wyjaśnienia, że jest zmęczona nocną pracą. Była też pewna, że nie robiła z nich wariatów ani przez chwilę jak i tego, że ani prośbą, ani groźbą nie będą próbowali z mej niczego wyciągnąć.

Westchnąwszy z zadowoleniem, nasunęła na siebie kołdrę Jednak uczucie zadowolenia nie trwało długo Ody tylko zamknęła oczy i próbowała zasnąć, pojawiły się nowe głosy, sprawiające ból, nawet po sześciu miesiącach.

— Masz piękne ciało, stworzone do miłości. Nie masz się czego wstydzić. Pozwól mi kochać cię, najdroższa Naprawdę kochać cię.

Jak wiele razy Brad szeptał te pełne pasji słowa w ciągu tych krótkich dwóch tygodni, które minęły od poznania

go do momentu, w którym włożył jej na palec obrączkę? O wiele częściej niż zdołała zapamiętać. Ale niezależnie od tego, czy zdołała zapamiętać, czy nie, gorzkosłodkie wspomnienia nadal płynęły. Mocno zamykając oczy, Vichy poczuła, że ma rozpalone policzki, jakby w wyobraźni leżała niewinnie szczęśliwa w ramionach Brada, wypełniona jego ars amandi.

Bezbronna w swojej miłości i zaufaniu Vichy uczyniła ze swojego młodego i przystojnego męża podporę fizycznej i emocjonalnej egzystencji. I w ciągu sześciu miesięcy Brad zapanował nad jej zaufaniem, nasycił się nią, wyedukował w sposobach pobudzania i satysfakcjonowania go.

A na koniec okazał się szczurem. Ale, Boże, gorąco-krwistym szczurem! Vichy jęknęła głośno. Odkryła, w szokujący sposób, jak dokładnie gorąco-krwistym i jak potwornym szczurem okazał się Brad pół roku po ślubie.

Vichy bez skutku próbowała zatrzymać potok wspomnień, które przejęły nad nią władzę i upokarzały ją.

— Stałaś się moim życiem — powtarzał Brad niezliczoną liczbę razy w ciągu tych miesięcy — jedynym powodem mojego istnienia. Wierzyłam mu. Jego twarz wyrażała łagodność, jego ręce łąsiły się delikatnie, Brad, przywiązał ją do siebie mając słowami.

— Potrzebuję każdej twojej cząstki, tak jak potrzebuję powietrza. Żadna kobieta, którą znałem, nie posiadała tej siły, sprawiającej, że jest mi z tobą tak dobrze.

Mówił tak i mówił, i mówił, ciągle to samo — Vichy przypomniała sobie z cynizmem. Ale ja połknęłam wędkę, żyłkę, haczyk i przynętę. Byłam niewiarygodnie niewinna, a Brad był bardzo dobry w tym, tak że zaprawiony weteran mógłby się na to nabrać i nie miałby się czego wstydzić. Ale te ostatnie słowa, które powiedział, ciągle kołatały się w jej głowie, jątrząc i wywołując wstyd.

Kilka miesięcy po ślubie słodkie słówka Brada znisz-

czyły nawet to, co poczuła, gdy w czasie zwyczajnej wizyty u lekarza dowiedziała się, że prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła mieć dzieci.

— Mamy siebie nawzajem — powiedział Brad — A ty masz swoją karierę. Myśląc o tym później, zastanawiała się czy to co powiedział było wyrazem zawodu, czy ulgi Vichy zastanawiała się nad swoim szczęściem gdy została zaangażowana do tego samego hotelu, w którym poznali się równo sześć miesięcy temu. Angaż opiewał na dwa wieczorne występy — pierwszy w porze obiadowej drugi później, gdy goście usiądą, by napić się drinka Brad, zapalony hazardzista, dla którego każda minuta gry, nieważne czy przegrywał, czy wygrywał, była cenna ponad wszystko, nigdy nie pojawił się na wsześniejszym występie. Ale za każdym razem w ciągu dwóch tygodni gdy spacerował po sali w czasie jej wieczornego przedstawienia, oczy kobiet śledziły każdy jego krok, a usta cicho wymieniały wyrazy uznania. Vichy wiedziała o tym Była odrobinę skonsternowana, gdy tego wieczoru me pojawił się na sali. Przez chwilę szukała go wzrokiem przy jego ulubionym stoliku, ale zaraz pomyślała że na pewno jego nieobecność spowodowana jest tym że szykuje jej niespodziankę z tej okazji, że mija pół roku od chwili poznania. Zaciekawiona, czymże może być ta niespodzianka, Vichy zaraz po występie pobiegła do ich pokoju.

Rzuciła się na poduszkę pragnąc, aby jej miękkość utuliła wzbierający w niej szloch. Płakała wspominając to, co zobaczyła, gdy otworzyła drzwi. Nie zastanawiała się nawet, dlaczego drzwi były zamknięte. Przewidując co może zobaczyć, drżącą ręką wsunęła klucz do zamka i cicho je uchylila. Pokój skąpany był w łagodnym świetle lampy stojącej na toalecie. Na łóżku leżała spleciona w uścisku para Postąpiła dwa kroki do przodu i zanim skamieniała

poczuła przebiegający przez ciało zimny dreszcz. Myśli próbowały nadażyć za tym, co zobaczyły oczy. Ale nie było wątpliwości co do tego, co robią i kim są. Kobieta była kelnerką z baru, w którym występowała Vichy, a mężczyzna... mężczyzna to był Brad! Jej Brad!

Byli całkowicie pochłonięci sobą i nawet teraz Vichy nie może przypomnieć sobie, czym zwróciła na siebie uwagę. Może krzyknęła, głośno westchnęła? Nie miała pojęcia, ale czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Powstrzymując skurcz żołądka, Vichy z pobladłą twarzą odwróciła się i uciekła. Gonił ją śmiech tej kobiety. Do dzisiaj nie jest w stanie przypomnieć sobie, dokąd poszła tamtej nocy. Włócząc się bez tchu po ulicach miasta, które nigdy nie zasypia, odzyskała świadomość około dziewiątej rano.

Natknąwszy się na biuro adwokata — weszła tam. W ciągu tych kilku nocnych godzin stała się o wiele bardziej dojrzała. Ale to kosztowało ją wiele bólu.

Takich lekcji nigdy się nie zapomina. Vichy nie zapomniała i nie była też zdolna od tamtego czasu pokochać mężczyzn. Według niej, oprócz ojca i brata, inni mężczyźni nie zasługiwali w najmniejszym stopniu na zaufanie.

Chłodną dłonią otarła łzy gromadzące się pod powiekami. Nie płakała nad kobietą, którą jest teraz, ale nad promiennooką niewinnością, która była sześć lat temu. Śmierć tej niewinności sprawiała ból aż do granic. Zaczynanie życia na nowo w wieku dwudziestu trzech lat, w momencie gdy pół roku po tym, co się wydarzyło, otrzymała rozwód, było ciężką pracą. Świadomość, że jest pierwszą w rodzinie rozwódką, wcale jej tego nie ułatwiała.

Oczywiście w ciągu tych lat pojawiali się w jej życiu mężczyźni. Nigdy jednak nie pozwoliła żadnemu znaleźć się zbyt blisko. Ale w momencie gdy odrzucała ich, na

pozór z łatwością, toczyła cichą wewnętrzną walkę. To nie było łatwe.

Brad rozbudził w niej zmysłowość, odkrył naturalny głód. Była pobudliwa i miała te same potrzeby co wszystkie młode kobiety. Jednak lęk powodował, że je tłumiła. Przymknęła sobie, że nigdy nie otworzy się i nie narazi na taki ból, jaki zadał jej Brad. Błyskawiczne zaspokojenie, które osiągała, nie było najgorszą ceną za to.

Ale koszt abstynencji z wyboru ciągle wzrastał i po sześciu latach jedna moneta frustracji i samotności pomnożona przez inflację stawała się olbrzymim ciężarem, przybierającym z roku na rok na wadze. Kolejne westchnienie wydobyło się z jej ust i Vichy gwałtownie kopnęła kołdrę. Może powinnam wziąć sobie kochanka — pomyślała rozpaczliwie. Obcego na jedną noc, wybranego z zimną krwią w tylko jednym celu — aby mnie zaspokoił.

Gorzki śmiech tylko przez sekundę zabrzmiał w ciemnym pokoju. Po tych wszystkich latach nie miała już pojęcia, jak się do tego zabrać. A jeśli już zrobiłaby to, wiedziała, że nie starczy jej odwagi, by sprawę dociągnąć do końca. Dwa tygodnie łagodnej, matczynej troski, szorstkiej ojcowskiej opieki i momentami głupawego humoru Bette pomogły wypełnić pustkę, która trawiła Vichy.

W pierwszy weekend jej pobytu w domu pojawili się Mattie z mężem Tomem i najmłodszą córką Brendą. Prawie cały pierwszy dzień Mattie i Vichy spędziły, opowiadając sobie nowiny. Rozmowy wypełniły dom, czasami wszyscy mówili jednocześnie. Vichy otrzymała kompletne informacje na temat stanu zdrowia ciężarnej córki Mattie. Czuć było w każdym jej słowie, że jest bardzo podekscytowana perspektywą zostania babcią. Drugi dzień upłynął na miłych rozmowach, przerywa-

nych przez jazgotliwe przekomarzenia się Bette i Brendy, które różniły się między sobą wiekiem o cztery lata.

W następny weekend wylądował Josh, holując Roberta. Pandemonium osiągnęło szczyt, i gdy Josh i Caroline odjechali pobuszować trochę w Easton, Vichy zaczęła się czuć tak jak onegdaj.

Wszystko to sprawiło, że o wiele trudniej przyszło jej podjęcie decyzji o wyjeździe do Atlantic City, by wypełnić swoje zobowiązania. Ale przekonując samą siebie, że są to tylko dwa krótkie wypadki, wyjechała tydzień przed Świętem Dziękczynienia.

Atlantic City z trudem przypominało to miasto, w którym razem z rodziną spędzała wakacje, mając osiem lat. Jej wspomnienia z tamtego czasu były niewyraźne, lecz zmiany, jakie zaszły, okazały się tak dramatyczne, że trudno było ich nie zauważyć.

Ulice zakorkowane przez samochody i turystyczne autobusy, ich atmosfera przypominała upadłą piękność, którą miłośnicy i kochankowie zostawili samą. Jadąc przez tę depresję, Vichy poczuła przygnębiający smutek.

Inaczej wyglądały chodniki. Tutaj wszystko skrzyło się i musowało jak szampan. Autobusy, taksówki i samochody wszędzie wyrzucały pasażerów. Ponad płataniną głosów wznosił się kobiecy śmiech, kontrapunktowany przez gwizdek hotelowego odźwiernego.

Vichy bez trudu odnalazła hotel, w którym miała występować, i zgodnie z otrzymanym poleceniem przebiła się przez tłum ludzi wewnątrz i trafiła do wyznaczonego biura.

Scena, na której miała występować, wydała się jej mała i intymna. Po krótkiej rozmowie z managerem Vichy poszła do swojego pokoju. Gorący prysznic spłukał z niej napięcie i zmęczenie spowodowane prawie trzygodziną jazdą. Ustąpił ból ramion i pleców.

Pierwszy sobotni występ poszedł gładko. Na początku

drugiego, omijając wzrokiem nieliczną publiczność, zderzyła się z przeszywającym spojrzeniem ciemnowłosego mężczyzny, siedzącego samotnie przy stoliku najbliżej sceny.

Po dziesięciu latach występowania w salach, bardzo podobnych do tej, Vichy przyzwyczała się do wpatrujących się w nią oczu, ale w spojrzeniu tego mężczyzny było coś takiego, że poczuła się skrępowana. W czasie następnych piosenek, jakby zmuszona przez siłę, której nie można się oprzeć, spostrzegła, że zerka w stronę tego mężczyzny. I za każdym razem, a nie trwało to dłużej niż westchnienie, jej spojrzenie było przez niego przechwytywane.

Jego nieruchoma, jakby wyrzeźbiona twarz nie zdradzała żadnego wyrazu. Czy-nie podoba mu się barwa jej głosu? Czy uczestniczy w tym? Vichy nie potrafiła osądzić, dlaczego się nie uśmiecha, dlaczego nie wyraża dezaprobaty... Siedział tam po prostu, przeszywając ją zimnym, ostrym spojrzeniem.

Gdy po skończonym występie wracała do swojego pokoju, pomyślała, że jeżeli z jakiegokolwiek powodu ten mężczyzna postanowił wstrząsnąć nią, to udało mu się osiągnąć swój cel. Jeżeli jego pragnieniem było wbić się w jej świadomość, to udało mu się to również. Na żadną inną osobę z publiczności nie zwróciła takiej uwagi. Gdy rozpoczynała swój wieczorny występ w poniedziałek, prawie bała się rozejrzeć po sali. Nie zauważyła co prawda, na poprzednim przedstawieniu nawet jego cienia, ale... Powtarzając sobie, że jest dorosła, Vichy zaintonowała popularną, rytmiczną piosenkę i w jej trakcie zaczęła powoli i ostrożnie przyglądać się poszczególnym stolikom. Nagle jej wzrok zatrzymał się gwałtownie na przeciwległej stronie sali. On tam był

Walcząc z nagłą, przemożną chęcią, by schować się do mysiej dziury, Vichy ze sztywnym uśmiechem przebrnęła jakoś do końca repertuaru. Gdy wybrzmiał ostatni

dźwięk, powoli przeszła po sali zatrzymując się, by przyjąć wyrazy uznania od słuchaczy, uśmiechnąć się i wymamrotać niewyraźnie „dziękuję”.

Uważnie starając się omijać okolice, w której siedział jej oprawca, odwróciła się w stronę grupki młodych ludzi, gdy nagle tuż przed nią wyrosła postać, zagradzając jej drogę.

— Masz bardzo, bardzo seksowny głos. Ale, oczywiście, sama o tym wiesz najlepiej. — Sposób, w jaki mówił, nie różnił się niczym od sposobu, w jaki patrzył.

Zanim Vichy pomyślała, co mogłaby odpowiedzieć, wyszeptał zaproszenie, które zabrzmiało jak rozkaz: — Napij się ze mną drinka. — Jego usta rozluźniły się w uśmiechu. — Pozwól mi zaprosić się na późną kolację.

Gdy to mówił, zacisnął smukłe palce na jej ramieniu i bez czekania na odpowiedź zaczął prowadzić ją w stronę swojego stolika. Zaskoczona tym, jak uśmiech może zmienić wyraz jego twarzy, Vichy jak w transie, nie dość, że pozwoliła poprowadzić się na miejsce, to jeszcze usiadła przy stole. Zmysły powróciły dopiero, gdy usiadł naprzeciw niej.

— Słuchaj, panie... — Vichy z wahaniem podniosła pytająco brwi.

— Larkin — przedstawił się szybko. — Bennett Larkin.

— Widzisz, panie Larkin — zaczęła od nowa. — Dziękuję za zaproszenie, ale... — Nie miała wprawy w kłamaniu, więc przerwał jej błyskawicznie.

— Na pewno pani jadła? — kąciki jego pięknie wymodelowanych ust uniosły się, zapowiadając następny uśmiech.

— Tak oczywiście, ale... — zaczęła, tylko po to, by mógł przerwać jej jeszcze raz.

— Cóż, w takim razie, dlaczego nie zjeść ze mną? — zapytał łagodnym tonem.

- Nawet pana nie znam — Vichy broniła się delikatnie.
- Nie teraz. Teraz zjemy razem kolację.
- Panie Larkin, ja... — Vichy przerwała, szukając odpowiednich słów, by odmówić.
- Ben — odparł delikatnie.
- Co? — wielka łagodność jego głosu sprawiła, że był prawie niesłyszalny. Jak muśnięcie skrzydła motyla
- Powiedziałem, że na imię mi Ben.
- Tak, cóż... — Vichy wydusiła przez zaciśnięte gardło — przykro mi ale...
- Jesteś umówiona na kolację? — przybrał nagle ostry ton.
- Nie — zaprzeczyła Vichy i momentalnie skarciła się za utratę szansy powiedzenia prostego „tak”.
- W takim razie... — odpowiedział unosząc kącik ust — dlaczego mielibyśmy jeść w samotności, skoro możemy dotrzymać sobie towarzystwa?

ROZDZIAŁ TRZECI

— Czyżby naprawdę? — zastanawiała się Vichy. Jeśli miałyby być szczerą wobec siebie, musiałyby przyznać, że jest zmęczona tą ciągłą samotnością.

To dziwne, przełamanie przez Bennetta Larkina bariery, którą oddzielała się od reszty, uświadomiło jej przez ile lat w większej części była sama. Oczywiście, miała przyjaciół, ale te stosunki były raczej powierzchowne i okazjonalne. Z wyjątkiem Brada, którego odrzuciła w każdym calu.

Dlaczego teraz tych kilka minionych dni wydało się jej jałowe? Dlatego — odpowiedziała sobie — że poprzednie dwa tygodnie spędziłam w domu w otoczeniu rodziny.

— Czy pytanie jest zbyt trudne — sardoniczny ton Bennetta Larkina wytrącił ją z rozmyślań.

— Och, przepraszam, chodzi ci zapewne o kolację — odparła Vichy obojętnie.

— Jakże to ma znaczenie?

— Żadne, myślę, że żadne — odpowiedziała w końcu.

— Możemy zjeść tutaj — podniósł dłoń, wskazując

salę — lub — przerwał i zapytał — Jesteś głodna? To znaczy, naprawdę głodna?

— Cóż — Vichy zawahała się, zanim odpowiedziała. — Mówiąc szczerze, jestem głodna. To prawda, poza filiżanką kawy, którą wlała w siebie przed występem, nie jadła nic od południa. W tej chwili wypełniały ją trzy uczucia — nerwowość, głód i samotność.

Niedaleko stąd jest japońska restauracja — kontynuował Bennett. — Za całkiem przyzwoitą cenę można tam zjeść mięso przyprawione w sześciu smakach. Można też wybrać z menu coś innego. Najważniejsze jest to, że przygotowują posiłek tuż przed tobą na małym grillu ustawionym na stoliku. Robi to znakomity kucharz. Czy ten pomysł ci odpowiada?

— Bardzo — przyznała Vichy.

— Dlaczego więc jeszcze tutaj siedzimy? — podniósł się i pomógł jej odsunąć krzesło, nie ponaglając, ale nie pozostawiając też czasu na zmianę decyzji.

— Muszę wziąć płaszcz — powiedziała Vichy, gdy Ben ruszył w stronę wyjścia.

— W porządku — posłał jej głębokie spojrzenie. — Ja w tym czasie zadzwonię i upewnię się, czy mają wolne miejsca — spojrzał jeszcze raz w ten sposób i dodał — jeśli pozwolisz, poczekam przy wyjściu i złapię taksówkę.

— Nie moglibyśmy się przespacerować? — zapytała Vichy, czując potrzebę zaczerpnięcia powietrza.

— Oczywiście, jeśli tak wolisz — odpowiedział błyskawicznie. — Morskie powietrze znakomicie pobudza apetyt. Poczekam na chodniku przed wyjściem.

Idąc po płaszcz, Vichy przystanąła obok lustra i uznała, że lepiej będzie, gdy zmyje sceniczny makijaż, bo inaczej ktoś może pomyśleć, że jest jakąś wariatką. Pamiętając, że czas ucieka, a Bennett Larkin czeka, szybko, ale ostrożnie zmyła stary i położyła nowy, oszczędny i jasny makijaż, bardziej odpowiedni na tę okazję. Próbowała

też przestać myśleć, że oto idzie na randkę z zupełnie nieznanym mężczyzną.

Wyszła na ulicę i zanim została zauważona przez Bena, wykorzystała ten czas, aby dokładniej mu się przyjrzeć.

W przyćmionym świetle jego włosy wydawały się jeszcze bardziej ciemnobrązowe od jej własnych. Ale w dobrze oświetlonej przestrzeni przed wyjściem okazało się, że mają tylko głęboki kasztanowy odcień. Był wyższy od większości mężczyzn przechodzących obok niego, miał szerokie plecy i pełną klatkę piersiową. Znakomicie dopasowany i świetnie skrojony garnitur okrywał wąskie biodra i długie nogi. Ręce opadały swobodnie akcentując niedbałą pozycję, w której czekał.

W sali jego twarz sprawiała wrażenie nieco chropowatej, teraz w świetle okazało się, że posiada regularne rysy, zaznaczone kości policzkowe, nieco orli nos i agresywnie wysunięty podbródek. Odwrócił głowę, przez chwilę błędził oczami po twarzach przechodniów, zanim spostrzegł Vichy. Vichy uśmiechnęła się, zadając sobie pytanie: Co ja robię? Przeraziła się swoim dzikim zaangażowaniem.

— Już myślałem, że szykujesz się do występu — powiedział cicho, gdy podeszła do niego. — Czy może biłaś się z myślami? — Vichy nie zwróciła uwagi na jego ton i agresywne spojrzenie. Co ja tutaj robię — pomyślała nerwowo. Sposób, w jaki mówił, miał w sobie coś władczego, coś, co powinno być dla niej ostrzeżeniem. Co mnie tutaj popchnęło — zastanowiła się. Czy on mógłby być jakimś uzasadnieniem? Tak, mógłby — odpowiedziała sobie bez wahania. Nie miała pojęcia, skąd o tym wie, ale była przekonana, że tak.

— Nie — odpowiedziała szybko. — Przepraszam, że kazałam ci czekać, ale musiałam zmienić makijaż. Vichy nigdy przedtem nie widziała takiego koloru oczu, jak tych, które przypatrywały się jej teraz. Były piwne, ale

miały delikatny rdzawy odcień. Co słyszała o ludziach posiadających taki kolor oczu? — Po przebywaniu w zadymionej atmosferze sali, morskie powietrze gwałtownie uderzyło ją w nozdrza. Vichy wsunęła ręce do kieszeni płaszcza i szła obok Bena, przysłuchując się stukowi swoich kroków na prawie pustym chodniku.

— Jesteś zmęczona czy zawsze taka małomówna — Ben zwrócił w jej stronę pytające spojrzenie. Vichy przełknęła ślinę, by ustąpiło coś, co ścisnęło ją za gardło. — Jestem odrobinę zmęczona, tak, ale również nieco małomówna. — Z powodu samotności — chciała dodać, ale powstrzymała się.

— Co za ulga. Już myślałem, że moje towarzystwo tak podziałało na siłę twojej wymowy. Vichy szybko zerknęła na niego i uchwyciła sardoniczny uśmiech, który na moment wygiął linię jego ust.

— Małomówność, to raczej niespotykana cecha u kobiet — kontynuował. — Wszystkie kobiety, które spotkałem, zwykle mówiły na okrągło i to o niczym lub o niczym ważnym.

— Ważnym dla kogo — Vichy nie mogła powstrzymać się od wbicia małej szpileczki. Dlaczego mężczyźni zawsze są przekonani, że tylko tematy dotyczące ich są ważne?

— Och, milcząca, ale z pazurkami — w jego głosie zabrzmiała nuta zadowolenia.

— Tak, mam pazurki — rozpromieniła się Vichy — ząbki również...

— Naprawdę — spojrzał na nią. — Bardzo intrygujące. Postaram się to zapamiętać.

Ton, jakim to powiedział, spowodował, że coś w jej wnętrzu poruszyło się i zatrzepotało. —

Ostrożnie, Vichy, on wie, jak dojść do celu — pomyślała. W tym momencie stanęli przed drzwiami restauracji. Weszli do środka

i uprzejmy szef sali cichym głosem wskazał im miejsca.

Stół, na którego środku znajdował się duży grill, obstawiony był z trzech stron ośmioma krzesłami. Dwa z nich zajęte były przez młodą parę. Prawdopodobnie nowożeńcy — pomyślała Vichy obserwując, z jaką miłością spoglądali na siebie. W tym momencie obydwójce ze zdziwieniem podnieśli wzrok, a Ben wyciągnął rękę do chłopaka i przedstawił się.

— Ben Larkin — powiedział cicho. — A to jest Victoria Parks — wyrecytował nazwisko jakby czytał plakat reklamowy.

— Kevin i Donna Weatley — odpowiedział z uśmiechem chłopak i odwrócił się w stronę swojej przemiłej żony.

— Nowożeńcy — mruknął Ben, potwierdzając tym jej przypuszczenia. Ponieważ panował tu taki zwyczaj, że dopóki przy stole nie zbierze się komplet gości, nie przygotowuje się posiłku, Vichy i Ben wypili szybkiego drinka. W tym czasie dosiadły się jeszcze dwie pary i dwie kobiety, jak oceniła Vichy, mniej więcej czterdziestoletnie. Tak jak powiedział Ben, większość dań przygotowywana była na grillu przed nimi. Robił to czarujący, młody kucharz. Reszta — sake i zielona herbata była podawana przez młodą Japonkę, która wyglądała jak laleczka we wzorzystym kimonie.

W czasie posiłku Vichy dowiedziała się z rozmów prowadzonych przy stole, że młoda para jest w podróży poślubnej, dwie kobiety przyjechały tu z jednodniową wycieczką, a dwie pozostałe pary zatrzymały się w Atlantic City jadąc z New Hampshire na Florydę. Dowiedziała się też rzeczy dla niej najważniejszej — powodem, dla którego znajdował się w tym mieście Ben Larkin, był hazard.

Vichy, oczywiście, podejrzewała to, ale teraz, gdy potwierdziły się jej przypuszczenia, zniknął gdzieś przyjemny, relaksujący nastrój, któremu właśnie się podda-

wała. — Ale to wcale nie musi znaczyć, że hazard jest jego życiem—upomniała się. Och, dlaczego zdecydowała się na towarzystwo tego człowieka, skoro znowu może powtórzyć się historia taka sama jak z Bradem?

Opuszczając towarzystwo przy stole, Vichy i Ben życzyli im „dobranoc”.

— Chcesz przespacerować się z powrotem czy zawołać taksówkę — zapytał Ben, gdy stanęli przed szatnią.

— Po tej kolacji myślę, że lepiej będzie przejść się — uśmiechnęła się Vichy. — Nie pamiętam już, kiedy ostatnio zjadłam tyle za jednym posiedzeniem.

Trzymając na ręku jej płaszcz, Ben uważnie taksował wzrokiem jej figurę.

— Nie wydaje mi się, żebyś jadła zbyt wiele, nie tylko za jednym posiedzeniem — zauważył kpiąco.

— Czy miała być to aluzja do tego, że jestem za chuda? Vichy przywiązywała wielkie znaczenie do swojej figury i utrzymania właściwej wagi, narażając się nawet na docinki rodziny.

— Niezupełnie — odpowiedział szybko. — Nie była to aluzja, ale raczej nieco inny sposób prawienia komplementów. Masz doskonałą figurę, jak na mój gust.

Puls Vichy gwałtownie przyspieszył. W czasie tych wszystkich lat spędzonych na publicznych występach przyzwyczała się do szczerych bądź nieszczerych komplementów. Jaka siła drzemie w tym obcym mężczyźnie, że tak ją podnieca? Nie miała wątpliwości, że jest podniecona. To było niesamowite. Nie obchodziło jej to, co on myśli o jej figurze lub czymkolwiek innym. Czyż nie?

Dreszcz przebiegający po plecach uświadomił Vichy, że ciągle stoją przed wejściem do restauracji.

Dotknięcie w niezbyt przyjemny sposób przekonało ją, że Ben, nie dość że przez cały czas wiedział o jej wewnętrznym zmieszaniu, to jeszcze uczestniczył w nim.

Mruknawszy cicho „dziękuję”, ruszyła chodnikiem nie oglądając się nawet, czy Ben idzie za nią. Szła tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to pantofle na obcasach.

— Skąd ten pośpiech?

Chwycił ją za ramię i zatrzymał. Potem wolno przesunął rękę i objął ją.

Vichy otworzyła usta i zamknęła je szybko zaszokowana niewymownie zgiełkiem bodźców promieniujących z jej ściśniętego ramienia.

— Jest bardzo późno — zaczęła. Łagodny śmiech Bena zatrzymał słowa w jej ustach. Boże! Co się ze mną dzieje? Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak w towarzystwie mężczyzny do czasu... Nie! Nie będzie myślała o Bradzie. Spróbowała uwolnić rękę, ale Ben wyczuł jej zamiar i jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

— Bez paniki, piękna — szepnął jej delikatnie do ucha. — Nie mam zamiaru wykonywać żadnych gwałtownych ruchów ani czynić szokujących propozycji. Możemy iść osobno, ale lepiej będzie, gdy przespacerujemy się razem w tę cudowną noc — mówił bardzo powoli. — Odpręż się i pozwól dojść do głosu naturze.

Vichy dobrze wiedziała, jak słuchać głosu natury. Ale przez te lata postępowała bardzo ostrożnie.

Zadrzała — czy poddać się jej, czy nie, i dreszcz, ten wstrząsnął jej ciałem. Ben oczywiście poczuł to.

— Na miłość boską, kobieto — powiedział — uspokój się. Zatrzymał się i odwrócił ją twarzą do siebie. Wyraz jego oczu zbił Vichy z tropu. — Jesteś nerwowa i spięta jak nastolatka na pierwszej randce. Ale przecież nie jesteś nastolatką, więc gdzie powód takiego zachowania?

Vichy zeszywniała, słysząc jego zirytowany głos. Kim ten facet myśli, że jest? I czy myśli, że zaproszenie na kolację daje mu prawo do zadawania jej pytań lub robienia uwag na temat jej wieku i zdolności? Nie lubię,

gdy nazywa mnie „kobietą”! Jeszcze raz spróbowała wyciągnąć rękę z jego dłoni i — poddała się.
— Proszę, puść moją rękę — odezwała się dumna z zimnego tonu, jakim udało się jej to powiedzieć.
— Nie — jego głos nie znosił sprzeciwu — odpowiedz mi.
— W porządku — zgodziła się lodowatym tonem. — Dawno już przestałam być nastolatką. Jak to się mówi — jestem nieco starsza. I jeśli mam problem, to jest nim facet, taki jak ty, który zabrał zbyt dużo, by mu to darować. A teraz puść moją rękę i nie nazywaj mnie więcej „kobietą”!
— No, no, jesteś o wiele bardziej spięta, niż myślałem — rzekł z podziwem! — Jakiś popieprzony facet owinał cię wokół palca, nieprawdaż.
— To nie twój interes — Vichy wycodziła przez zęby.
— Oczywiście — zgodził się z lekkim zdenerwowaniem. — Ale to nie powstrzyma mnie przed zastanawianiem się, co takiego ci zrobił.
— Możesz zastanawiać się do końca świata — odparła ze złością. — Nie mam żadnego powodu, by zaspokajać twoją ciekawość. Ponownie spróbowała wyrwać rękę z jego uścisku i ponownie poniosła klęskę.
— Jeżeli nie robi ci to różnicy —jeszcze raz ponowiła próbę — jestem zmęczona i chcę wrócić do mojego pokoju.
— Okay — westchnął głęboko i bez ostrzeżenia poprowadził ją ze sobą. Ciężka jak kamień cisza zawisła między nimi w czasie drogi powrotnej. Cisza trwająca nieprzerwanie aż do chwili, gdy stanęli przed drzwiami jej pokoju. Ben przykrył dłonią jej rękę, gdy wsadziła klucz do dziurki.
— Zaczekaj, Victorio — wyszeptał. Drugą ręką objął ją za plecy i odwrócił twarzą do siebie. Jego oczy wyrażały zakłopotanie. — Będę niepokieszony, jeżeli nie dowiem

się czym takim cię zasmuciłem. A zrobiłem to i przepraszam. Jeżeli obiecuję, że już nigdy nie zapytam cię o sprawy osobiste, to czy zjesz ze mną jutro kolację.'

Serce Vichy zabiło szybciej. Poczwała, jak ogarnia ją zmieszanie. Czy nie powinna zrezygnować z dalszego odtrącania go? Jeśli chce się tego trzymać, powinna powiedzieć „nie”.

— Tak.

— Dobrze — pocwała na czole jego ciepły oddech.

Chciał ją pocałować, wiedziała o tym, ale stała niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, wpatrując się w linę ust, które zbliżały się do jej warg.

— Ben! Zaprotestowała za późno. Ich usta zetknęły się na krótką chwilę, potem on podniósł głowę i cofnął się. Wyjął z jej dłoni klucz i sekundę później obrócił go w zamku, cicho otwierając drzwi.

— Dobranoc, Victorio.

Pochylił się nad nią i musnął ustami jej policzek. Odwrócił się i odszedł korytarzem.

Vichy jak ktoś wyrwany z transu weszła do pokoju, zamknęła i zakluczyła drzwi, odetchnęła głęboko i oparła się o wyłożoną boazerią ścianę.

Co jest z tym facetem?—zadała sobie po cichu pytanie. Jej klatka piersiowa skurczyła się i pocwała wewnątrz dziwną pustkę. Gwałtownie potrząsnęła głową i odepchnęła się od ściany. Odreagowała się i pocwała ulgę. Stanowiła dla niego atrakcję, ale była atrakcyjna tylko pod względem fizycznym, nic więcej. Na pewno może to wytrzymać. Chodząc po małym pokoju i przygotowując się do łóżka, Vichy starała się spokojnie rozważyć, dlaczego w całkowitej niezgodzie ze swoim charakterem udzieliła takiej odpowiedzi Benowi. Nigdy przedtem nie zdarzyło się jej wyjść z zupełnie nieznanym mężczyzną. Nawet w wypadku Brada wyszła z nim

dopiero po kilku dniach od momentu poznania nie mówiąc już o tym, kiedy pozwoliła mu się objąć. Ale dzisiaj czuła się w jakiś dziecięcy sposób samotna o wiele bardziej, niż gdy miała dwadzieścia dwa lata. Wtedy przyszłość obiecywała jej wszystko, trzeba było tylko o to walczyć. Dzisiaj Bennett Larkin rozniecił w jej życiu pierwszą od wieków iskrę.

Vichy układała się do snu, a w jej głowie ciągle paliło się czerwone światełko: Bądź ostrożna, bardzo ostrożna panno Vichy Parks, żeby ta iskra, którą rozniecił Ben' nie zmieniła się we wszystko ogarniający płomień. Spaliłaś się już wcześniej — rozegraj to na zimno

Zanim opadły jej powieki, spróbowała jeszcze stworzyć psychiczny portret Bena-Larkina, znowu zadając sobie pytanie: Co jest z tym facetem? Poznała w ciągu tych lat wielu mężczyzn, niektórych wręcz niewiarygodnie przystojnych, w porównaniu z którymi Ben był tylko bardzo atrakcyjny w szorstki męski sposób. Szybki dreszcz podekscytowania przebiegł przez jej ciało. Co to jest? Czym jest w nim ta chropowata męskość, która tak na nią działa. Nie wiedziała o nim nic, ale była pewna jednego - był w każdym calu mężczyzną

Mężczyzna w każdym calu czy nie, ale jest hazardzistą więc zaufać mu, czy nie ufać - było ostatnią myślą, jaka przebiegła jej przez głowę przed zaśnięciem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wtorek nie był wcale inny niż poniedziałek, z tą różnicą, że myśli o Benie zaprzątnęły całkowicie jej głowę, tworząc mieszankę podekscytowania i obaw.

Rozkołysana od stanu, w którym z trudnością łapie się oddech do wariactwa, Vichy w czasie pierwszego występu odkryła, że śpiewa swoje piosenki inaczej niż zwykle.

Kładąc makijaż przed wieczornym przedstawieniem, zauważyła na policzkach wypieki, ale nie mogła nic na to poradzić. Przeczesała długie, ciemnobrązowe włosy krytycznie studiowała swoje odbicie w lustrze. W różowej poświacie delikatny, jedwabny materiał jej sukienki przylegał do piersi i wąskiej talii, i rozpląwał się wzdłuż ud. W końcu zadowolona z fryzury, jaką udało się jej ułożyć, zwilżyła czubkiem języka usta, przełknęła ślinę, by rozluźnić gardło i wróciła do pracy.

Rozglądnęła się szybko po sali i poczuła się jak otwarta przed tygodniem butelka szampana. Ben nie przyszedł!

Nie wypadając z rytmu i nie zapominając słów, Vichy zaśpiewała. Rozmawiała z publicznością, głośno zar-

towała z akompaniującymi jej muzykami, starając się nie okazywać głębokiego rozczarowania, którego doświadczyła przed chwilą. Ben był hazardzistą, a czyż nie nauczyła się już, że hazardzistom nie można ufać? Ale w jej głowie pojawiła się momentalnie inna myśl. Starła się ją odrzucić, ale powracała. — A może on jest inny może źle go ocenia...?

Wydawało się jej, że nigdy nie skończy tego występu Boże, czy naprawdę uda się jej zaśpiewać wszystkie piosenki? Jeszcze jeden numer i koniec. Będzie mogła wrócić do pokoju i wypłakać się lub rozbić coś, lub głośno przekląć wszystkich hazardzistów.

Posyłając publiczności promienny uśmiech, Vichy otworzyła usta i o mało nie jęknęła, zamiast zaśpiewać. Do sali wszedł Ben Larkin. Wyglądał niezwykle atrakcyjnie. Podeszedł do swojego stolika i usiadł. Vichy poczuła złość

i całe to uczucie wyładowała w ekspresyjnym wykonaniu piosenki. Została nagrodzona entuzjastycznymi oklaskami, największymi, jakie udało się jej zebrać w czasie tego kontraktu. Ben również klaskał.

— Bardzo mi przykro, że się spóźniłem — odsłonił w uśmiechu białe zęby. - Obawiam się, że straciłem wspaniały występ.

Pochlebca — pomyślała Vichy, gdy głośno odpowiadała „dziękuję” .

— Nie siadaj. — Ben chwycił jej rękę, gdy zamierzała to zrobić. — Czeka na nas samochód, więc idź zmień makijaż tak szybko jak to możliwe.

— Ale...

— Idź — rozkazał łagodnie. — Nie pozwólmy być odzwierny zbyt długo na nas czekał z otwartymi drzwiami. Wyjedziemy za miasto.

Vichy w rekordowym tempie zmieniła makijaż, chwyciła płaszcz i wybiegła z pokoju. Ben bez słowa przeprowadził ją przez hall i wyręczając odzwiernego

otworzył drzwiczki czarnego Grand Prix. Sam usiadł na miejscu kierowcy. Przez całą drogę po zatłoczonych ulicach, aż do momentu, gdy wyjechali za miasto, Vichy milczała. Zmęczona, pozwoliła objąć się uczuciu zadowolenia jak ciepłym ramionom.

— Czy wolno mi zapytać, dokąd jedziemy — odezwała się w końcu. Wpatrzony w drogę Ben odwrócił w jej kierunku wzrok. Łagodny uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Czujesz się dobrze? — szepnął. — Jedziemy na kolację do zajazdu, kilka kilometrów stąd. Czy apróbujesz ten pomysł?

Vichy zaśmiała się cicho, co wynikało z jej beztroskiego nastroju.

— A może to być straszne?

— Może — odpowiedział z udawaną powagą. — To może być druzgocące.

— Mam wrażenie, że dotykasz mojej nogi — oskarżyła go żartobliwie.

— Och, nie—posłał jej długie spojrzenie. — Gdy dotknę twojej nogi, nie będziesz miała wrażenia, będziesz to czuła.

Barwa jego głosu spowodowała, że przez ciało Vichy przebiegł dreszcz. Była wdzięczna, że ciemność pozwala ukryć rumieniec, który oblał jej policzki.

Co się ze mną dzieje? — zastanawiała się, obserwując jego odprężoną twarz. Gdyby jakikolwiek inny mężczyzna zwrócił się do niej takim sugestywnym tonem, zamieniłaby się w bryłę lodu. Co jest z tym facetem — zadała sobie pytanie po raz kolejny. Na czym polega ta siła, którą ma w sobie, a której nie umiem nazwać? Jest tylko mężczyzną i na dodatek hazardzistą. Jeżeli miałoby to mieć jakiś sens, nie powinna teraz się tu znajdować.

— Czy mam traktować twoje milczenie jako karę za moją zuchwałość? — zapytał, przerywając jej wewnętrzny monolog.

— Mam nadzieję, że to był tylko żart — odpowiedziała.

— Żart — zaśmiał się głośno. — Nie, kochanie, to me był żart. To była obietnica.

— Jak na to odpowiedzieć? — Dzięki Bogu została uwolniona od tego, bo Ben przyhamował, chwycił drugą ręką kierownicę i zjechał na parking przed sporej wielkości budynkiem. Neon obwieszczał, że jest to zajazd.

Zważywszy, że był to wtorkowy wieczór i że było już pozno Vichy nie zdziwił fakt, że w restauracji siedziało tylko kilka osób. Przy wejściu przywitała ich uśmiechnięta kelnerka ubrana w długą, czarną spódnicę z rozcięciem i białą bluzką. Zaprowadziła ich do stojącego w rogu stolika i zapytała, czego się napiją, zanim rozpoczną studiowanie menu. Potem oddaliła się szybko by przygotować drinki.

— Wygląda z klasą — stwierdził Ben, oglądając się za nią.

— Tak — westchnęła potwierdzająco Vichy, zastanawiając się, w jaki sposób to stwierdzenie może odnosić się do niej.

— Ale mogłaby być twoją pokojówką — dodał Ben, nie zapominając oczywiście zmienić tonu. Jego oczy przesunęły się po jej twarzy i górnej części ciała, zatrzymując się na chwilę na opiętych jedwabiem piersiach Biust Vichy zafalował.

— Ben, przestań — szepnęła, nerwowo rozglądając się dookoła.

— Dlaczego — leniwie podniósł wzrok. — Czy założyłaś stanik? — zapytał łagodnie, rozbawiony jej zmieszaniem.

— Nic ci do tego — odpowiedziała przez ściśnięte gardło i usłyszała znowu jego delikatny śmiech.

— Nie wierzę, że go masz — odpowiedział, a jego spojrzenie spowodowało, że Vichy poczuła, jak rumieni

się na policzkach. — Oczywiście — ciągnął — aby być zupełnie pewny, będę musiał to sprawdzić, później.

— Nie zrobisz niczego w tym rodzaju — odparta Vichy gwałtownie. Głośny śmiech Bena rozległ się w prawie pustej sali, sprawiając, że goście spojrzeli w ich stronę

— Och Victorio, jesteś absolutną perłą — powiedział ciągle jeszcze się śmiejąc. - Wymykasz się z sieci jak piskorz.

— Lepiej bądź ostrożny - odpowiedziała Vichy, przyjmując jego żartobliwy ton — bo może okazać się, że złapałeś barrakudę, z małymi, ale ostrymi zębami.

— Ach tak... Ale barrakuda nie jest groźna dla rekina, który ma'większe zęby. A ten rekin właśnie ostrzy je sobie na barrakudę. I myśli, że siedząca obok barrakuda może być smaczkowym kąskiem - powiedział takim tonem, jakim opowiada się dzieciom bajki.

Przywołując spojrzeniem kelnera, który obsługiwał ich stół Vichy powiedziała: — Na szczęście ta barrakuda jest bliska ocalenia swojej cennej skóry przez rybaka, w przebraniu kelnera - opuściła niewinnie powieki i dodała — Chyba że masz zamiar zamówić steak z barrakudy?

— Takie pułapki jak ta tylko zaostrzają apetyt rekina — odparł Ben, zanim kelner pojawił się przy ich stole.

Vichy zamówiła na obiad pełen zestaw dan od zupy po deser. W czasie pomiędzy pierwszą łyżką cebulowej zupy a ostatnim kęsem ciastka prowadzili luźną rozmowę.

— Victoria to dość poważnie brzmiące imię — odezwał się Ben znad talerza. - Byłaś nazywana Vicky czy raczej Vic?

— Vichy.

— Vich-ee — odpowiadała wyraźnie. — Mam młod-

szą o osiem lat siostrę. Gdy zaczynała mówić, nie potrafiła poprawnie powiedzieć Vicky. Wychodziło
iei Vichy i tak już zostało.

— Jestem zadowolony — stwierdził Ben, spoglądając na smakowicie wyglądającą pieczeń. — W
przeciwieństwie do ciebie.

— Dlaczego „w przeciwieństwie”? — zdziwiła się Vichy, podnosząc wzrok.

— Z wielu powodów — uśmiechnął się. — Powiem ci kiedyś...

— Kiedyś — powtórzyła. — Dlaczego nie teraz? Ben rozejrzał się po sali, w której nie było już nikogo
poza kelnerem i wyszeptał — za dużo ludzi. Przypomnij mi, to odpowiem, gdy znajdziemy się w
bardziej prywatnej atmosferze.

— Zawsze byłeś taki męczący — zapytała. — Nawet jako mały chłopak? — i zanim zdążył
odpowiedzieć dodała — Czy ty w ogóle byłeś chłopakiem? — próbując wyobrazić sobie go w tym
wieku. Ale nie udało się jej to

— Oczywiście, kiedyś byłem chłopakiem... — Przez chwilę byłem nawet niemowlęciem.

— Naprawdę? — zdziwiła się Vichy.

— Myślisz może, że moi rodzice znaleźli mnie już takiego dużego pod jakimś drzewem? — błysnął w
iei stronę oczami.

- Raczej chciałeś powiedzieć „pod skałą” — wtrąciła słodko Vichy.

— Jestem tak twardy jak ona — z ust Bena zniknął uśmiech. — Lepiej bądź ostrożna, by się o mnie nie
potłuc.

barn pomysł, że mogłaby stanąć naprzeciwko niego wystarczył, by Vichy delikatnie wycofała się z
tego tematu.

— Masz jakiś braci lub siostry? — zapytała.

— Tchórz — powiedział, podnosząc głowę. — Zbyt niebezpieczny temat, co? — zapytał.

- Jeśli tak uważasz...
- Tak uważam — rzekł zmieniając znaczenie tego, co powiedziała Vichy.
- Uważam... cokolwiek...
- Ben, bądź poważny — upomniała go.
- Jestem bardzo poważny — odpowiedział. — Uważam, że jest jedna rzecz, którą mogę, ewentualnie, z tobą. To następna obietnica.
- Ben, proszę — zwróciła się Vichy błagalnym tonem, zapomniała na chwilę o obiedzie i nagle znalazła się w środku jego wiśniowych oczu.
- Czy barrakuda jest gotowa podjąć wyzwanie?
- Nie w twojej sieci — odparła.
- Uciekasz z pola walki, tak... — zdziwił się. — W porządku, zwinę na chwilę sieci — jego oczy zaśmiały się do niej.
- Mam jednego brata — zmienił temat. — Młodszego brata.
- Czy też jest hazardzistą? — zapytała Vichy i zaraz pożałowała tych słów. Ogniki w jego oczach przygasły i przez długą chwilę wpatrywał się w nią, zanim odpowiedział.
- Czyż nie wszyscy jesteśmy hazardzistami?
- Oczywiście, że nie—odparła Vichy —Ja nie jestem!
- Myślę, że wszyscy jesteśmy... Ty również.
- Nie — potrząsnęła gwałtownie głową —ja nigdy...
- Daj spokój — przerwał jej. — Nigdy nie kłóć się w czasie jedzenia. — Ogniki w jego oczach rozpalily się znowu. Uśmiechnął się. — To źle działa na trawienie.
- Ależ, Ben... — spróbowała, ale Ben w sposób nie znoszący protestu przerwał jej.
- Powiedziałaś, że masz młodszą siostrę. Czy jeszcze jakieś rodzeństwo?
- Mam jeszcze jedną siostrę i brata. Obydwoje starsi ode mnie — wyznała.

— A czy w domu czeka mąż? — zaciekawiał się.
— A żona — odbiła piłeczkę Vichy. — Nie, nie czeka — dodała po chwili.
— Na mnie też nikt nie czeka — Ben zmarszczył brwi. — Rozwiodłem się trzy lata temu.
— Jestem lepsza od ciebie o trzy lata — oświadczyła Vichy. — Mija sześć lat, od kiedy otrzymałam rozwód.
— Musiałaś być bardzo młoda. Ben próbował w ten sposób dowiedzieć się, ile ma lat. Vichy wiedziała o tym.
— Miałam dwadzieścia trzy lata — uśmiechnęła się.
— Ja miałem trzydzieści jeden — Ben zdradził jej swój wiek. — Ale to nie jest dobre doświadczenie, niezależnie w jakim jesteś wieku.
— Tak — zgodziła się Vichy.
— Masz dzieci?
— Nie — odpowiedziała i dodała w myślach — dzięki Bogu nie. — A ty?
— Mam chłopca — powiedział z wielkim zaangażowaniem. Vichy poczuła przejmujący ziąb. Uczucie pogłębiło się, gdy dodał — Ma opiekunkę. O Boże! On był przerażający. Rysy jego twarzy nabrały twardości granitu. Mógłby być złym człowiekiem — Vichy pomyślała nerwowo. I w tym momencie, nie wiedząc przecież niczego, poczuła współczucie dla jego byłej żony. Spojrzała szybko i spróbowała ocenić jego nastrój. Wydała westchnienie ulgi. Jego napięte rysy rozluźniły się, a w oczach pojawiły się dobrze jej znane iskierki.
— Czy jest tak samo nieustępliwy jak ty? — zapytała.
— Jeszcze nie — spróbował się uśmiechnąć. — Ale będzie.
— Żadna kobieta nigdy nie będzie w stanie zgiać jego karku. Wchodzi w świat doskonale przygotowany — dodał. — By zginać kark innym...
— To źle? — zapytał łagodnie.

— Bardzo — odparła Vichy.

— Dobrze — podniósł obie ręce do góry. — Poddaję się. Punkt dla ciebie. Ale na swoją obronę muszę powiedzieć, że nauczyłem go, jak odpowiednio traktować damy.

Vichy wykorzystała pauzę, jaka potem nastąpiła. — Święta krowa — pomyślała — ciekawe, czy też nauczył go jak odpowiednio traktować kobiety, które nie są damami? Nikły uśmiech przemknął przez jej usta.

— Coś cię dręczy?

— Nagle zaczęłam zastanawiać się, czy ty zaliczasz mnie do kategorii dam.

Ben podniósł kieliszek z odrobiną burgunda i patrząc przez szkło odpowiedział — Do specjalnej kategorii dam.

Po krótkim milczeniu rozmowa wróciła na dawne tory. Wymieniali uwagi na temat tego, co znajdowało się aktualnie na stole. Po kawie i likierze, Ben wykonał taktyczną zagrywkę. Podniósł swój kieliszek, ważył go przez chwilę w dłoni, spojrzął na nią i stuknął w jej kieliszek.

— Amaretto, napój kochanków — powiedział prawie niesłyszalnym szeptem. Będziemy nimi. To następna obietnica. — Nie licz na to, hazardzisto — Vichy poczuła wzbierającą w niej złość.

— Liczę na to — odparł poruszony. — Bardzo...

— Ben...

— Dopij kawę — Ben rozejrzał się po opustoszałej restauracji. — Kelnerka patrzy na nas tak, jakby chciała powiedzieć, że już musi zamykać.

Na zewnątrz padał deszcz, nie była to ulewa, ale raczej coś, co ojciec Vichy nazywał „kapuśniaczkiem”.

— Lubię jechać w deszczu — powiedziała Vichy, gdy wsiedli do samochodu. — Ale nienawidzę prowadzić — dodała przypominając sobie ulewę, przez którą jechała w czasie ostatniej podróży do domu.

— Więc usiądź wygodnie i pozwól się wieść — rzekł Ben zapraszająco. — Mnie nie robi różnicy, deszcz czy pogoda.

Nieco ociężała po obfitej kolacji, Vichy wyciągnęła się wygodnie na obitym welurem siedzeniu i zaczęła zastanawiać się nad ostatnimi słowami Bena. Upewniając samą siebie, że przecież nie może nic zrobić bez jej przyzwolenia, zamknęła oczy i kołysana przez jazdę, usypiana przez szum powietrza, zapadła w sen.

— Vichy — łagodny szept Bena wyrwał ją z drzemki. Podniosła się gwałtownie. Spojrzała na szybę i zobaczyła znajome światła hotelu.

— Przepraszam, Ben — powiedziała i ziewnęła, zakrywając dłonią usta.

— Nie jestem przyzwyczajona do obfitych posiłków o tak późnej porze — wyjaśniła.

— Przeprosiny przyjęte — uśmiechnął się ciepło Ben — ale zupełnie niepotrzebne. Ciężko pracujesz i jesteś zmęczona. Nie powinnaś za to przepraszać — zawahał się i dodał nieco zmieszany — zwłaszcza mnie.

— Co miał na myśli, mówiąc „zwłaszcza mnie?” — zastanawiała się Vichy, wysiadając z samochodu. Zadała mu to pytanie, gdy odprowadzał ją do pokoju.

— Dlatego, że jestem świadkiem, jak wiele energii wkładasz w każdy występ — odparł. Ale w miarę jak upływały sekundy milczenia, Vichy zaczęła zastanawiać się, co naprawdę chciał powiedzieć.

Gdy w głębi korytarza ukazały się drzwi jej pokoju, wyciągnęła z torebki klucz, by być przygotowaną na wypadek konieczności szybkiej ucieczki. Jej zabiegi okazały się daremne, Ben po prostu wyjął z jej palców klucz, przekręcił go w zamku i otworzył drzwi.

Przybliżył twarz do Vichy i szepnął — Dasz mi usta czy mam znowu ukraść pocałunek.

— Ben, ja...

— Okay — westchnął głęboko. — Zrób to po swojemu. — Mówiąc to przybliżył twarz, na której zastygł wyraz żelaznej determinacji.

— Ale, jeżeli będę musiał go ukraść, będę musiał włożyć w to więcej wysiłku.

Jego usta dotknęły jej warg, a wysiłek, jaki w to włożył, był niewiarygodny. Nigdy przedtem Vichy nie była tak całowana jak teraz. Nie zdobywał jej powoli. Jego usta atakowały, miażdżyły, pożądały...

Jego język chwycił chciwie każdą kroplę słodyczy. Ręce przygarnęły ją do jego silnego ciała.

Mając świadomość, że została pokonana, zanim pomyślała o obronie, Vichy poddała się jego

przeważającym siłom. Ben, gdy tylko ujrzał rąbek białej flagi, zmienił taktykę i rozpoczął walkę na innym polu. Rzucając na szalę wszystkie podniety, brał ją we władanie, gasząc nikłe załamki oporu.

Jego usta poruszały się, język smakował, ręce pieściły... rozniecił iskry, która zamieniła się w płomień pożądania ogarniający każdą cząstkę spragnionego ciała Vichy.

Nieświadomie i bez ostrzeżenia jej ręce objęły go i konwulsyjnie ścisnęły w pasie.

— Vichy — westchnął. Końcem języka dotknął kącika jej ust, potem prowadząc go powoli wzdłuż szyi dotarł do ucha.

— Czy wiesz, co ze mną robisz?

— Tak — wyznała. Przytulona bardzo mocno do jego ciała poczuła efekt swojego działania.

— Więc zaproś mnie do środka. — Nie mogę kochać się z tobą tutaj. Wszystkie jej rozpalone zmysły nagle zamarły. Co ona robi? Czy straciła rozsądek? Nie należy przecież do tego typu kobiet.

Ochłonęła pod wpływem tych myśli i uwolniła się z jego objęć.

— Nie możesz kochać się ze mną nigdzie — krzyknęła. — Ben, proszę... Nie mogę...

Jego ramiona opadły, cofnął się o krok, twarz wyrażała zdegustowanie.

— Dlaczego tak mówisz — zapytał chłodno.

— Ja...ja... — Co miała mu odpowiedzieć, skoro sama nie rozumiała dlaczego...

— Nie wysilaj się — Ben prawie warknął. Odwrócił się, by odejść, ale nie odszedł. Stał tak przez kilka sekund.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę tak pragnął kobiety, jak pragnę ciebie — powiedział łagodnie.

— Uczciwie ostrzegam. Wiesz dobrze, że będę próbował cię zdobyć, wkrótce... — zawiesił wzrok na jej ciągle drżących ustach i uśmiechnął się. — Kochanie, jesteś tak samo podniecona jak ja. I nie tylko ja będę miał trudności z zaśnięciem. Dlatego nie powiem „dobranoc”, ponieważ to nie będzie dla nas dobra noc. Powiedziawszy to odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Trzy godziny później Vichy stwierdziła, że Ben, jednak miał rację. To nie była dobra noc, w istocie, była to bardzo zła noc. Musiała przyznać, że od lat nie czuła, że życie może być tak ekscytujące. W jej ciele odzywały się jeszcze echem tamte dreszcze. Umysł jak zwierzątko w klatce próbował znaleźć jakieś wyjście.

Na ustach ciągle czuła smak Bena, skóra drętwiała pod jego dotykiem, a ciało naprężało się w jego uścisku. Ale najgorsze było to, że pragnęła go z siłą równą desperacji.

— To nie ma sensu — pomyślała próbując ostudzić emocje. Takie zachowanie zupełnie nie leżało w jej charakterze. — Byłam zbyt długo samotna. Jestem zmęczona. Tracę zdrowy rozsądek.

Nic nie pomagało. Przed świtem, wyczerpana psychicznie i fizycznie, Vichy stwierdziła, że nie jest w stanie zapanować nad uczuciami, od kiedy rozstała się z Benem. Powiedział, że nigdy nie pragnął żadnej kobiety tak bardzo jak jej. Vichy wiedziała, że czyniąc uniki sprowokowała go do tego oświadczenia.

Kochała Brada całym sercem i umysłem, ale nawet wtedy potrafią znaleźć w sobie tyle siły, by umiejętnie stopniować swoją i jego świadomość. Ben oczywiście zauważył, że wstrząsnął nią aż do podstaw.

Westchnęła i wtuliła twarz w poduszkę. Zainteresowanie nią okazywali mężczyźni dwóch typów — inżyniera-konstruktora i odnoszącego sukcesy biznesmena. Lubiła jednych i drugich, ale żadnemu nie udało się przełamać bariery obojętności, którą się otoczyła. Dopóki nie pojawił się Ben.

Ten zupełnie nieznajomy hazardzista po kilkuminutowym uścisku zdołał nie dość, że przełamać, to jeszcze doszczętnie zniweczyć tę barierę.

— Co mnie ciągnie do takiego typu mężczyzn — zastanawiała się. Bunt przeciwko moralności, którą wyniosła z domu? Podświadomy popęd do ryzyka? Całkowita głupota?

Vichy nie wiedziała i nie była pewna, czy hazard pociąga Bena w takim stopniu jak Brada. Myśli kłębiły się w jej głowie, gdy pokój wypełniał się bladą poświatą zachodzącego słońca. Nie znalazła żadnej rozsądnej odpowiedzi.

Wiedziała jedno. Musiałaby być szalona, by zbliżyć się do Bena na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów. On może bardzo ją zranić. Doświadczała już cząstki tego bólu, który zagnieździł się gdzieś w popiele jej wypalonych myśli. Podjęła to postanowienie, ale po godzinie ciągle go pragnęła.

Na przekór rozsądkowi, chłodnemu osądowi jego osoby, ciągle pragnęła znaleźć się w jego silnych ramionach, chciała, by przytulił ją mocno do siebie i by na ustach znów zagościł jego smak. I z tym pragnieniem wypełniającym wszystkie końcówki jej nerwów i płynącym w jej żyłach, wyczerpana, zapadła w głęboki sen bez marzeń.

Vichy nigdy nie uwielbiała środy, pojawiającej się zwykle w środku tygodnia. Zawsze był to dzień przesilenia. W piątek było już po wszystkim, ale środa była jak kula u nogi. Ta środa była gorsza od innych.

Trzy godziny snu niekorzystnie wpłynęły na wygląd jej oczu i cery. Spróbowała więc za pomocą kosmetyków ukryć zmęczenie. W czasie gdy przygotowywała się do wyjścia z pokoju, myślała o tym, w jaki sposób uniknąć spotkania z Bennettem Larkinem.

Boże, samo wspomnienie jego imienia sprawiło, że poczuła mrowienie skóry. Zadrżała i westchnąwszy głęboko sprawdziła w lustrze efekt swoich kosmetycznych zabiegów. Potem założyła dopasowane spodnie z wielbłądziej wełny i kaszmirowy sweter z wycięciem w kształcie litery V. Brązowe buty na wysokim obcasie dopełniły jej ubioru.

Nawet w miejscu, w którym samotne kobiety nie są czymś niezwykłym, spojrzenia odprowadzały Vichy od wejścia, gdy znalazła się w kawiarni, w której jak co dzień jadała śniadanie. Usiadła przy tym samym co zwykle stoliku i podszedł do niej ten sam kelner. — Dzień dobry, panno Parks — powiedział sprząając naczynia po poprzednim gościu. — Wygląda pani znakomicie...

— Dziękuję—odparła Vichy, odwzajemniając uśmiech. Pomyślała, że kelner mógł być w wieku jej siostry Bette, ale szacunek, z jakim się do niej odnosił, podniósł ją na duchu i po śniadaniu wyszła z kawiarni w o wiele lepszym nastroju.

Przed popołudniowym występem spotkała się z towarzyszącymi jej muzykami, starając się unikać innych ludzi. Inni ludzie znaczyli dla niej jedno — Bena Larkina.

Po pierwszych taktach Vichy zaskoczyła i dalszy ciąg występu przebiegł gładko. W czasie przerwy zamknęła się w małej garderobie i próbowała przekonać samą siebie, że wcale nie jest zdenerwowana, skoro spokojnie może występować.

Dzień włókł się jakby miał czterdzieści osiem godzin. Wreszcie nadszedł czas wieczornego występu, a wraz z nim pojawiły się myśli o mężczyźnie, który zajmował jej umysł i uczucia przez ostatnie godziny.

Wstrząsana przez sprzeczne uczucia, czy biec do niego, czy może uciekać, Vichy postanowiła, że śpiewając nie da niczego po sobie poznać.

Po ostatniej piosence podziękowała publiczności za oklaski i posłała jej uśmiech. Jednocześnie pomyślała, że powinna jak najszybciej zejść ze sceny i ukryć się. Czekają ją jeszcze trzy dni występów — potem będzie mogła uciec do domu i tam poczuje się całkowicie bezpieczna. Czy przez tych kilka dni nie jest w stanie powstrzymać swoich emocji? Oczywiście, że jest!

Podniosła wzrok. Jak dar niebios, w tłumie ludzi, przy ich — tak o nim myślała — stoliku stał ubrany w jaskrawą koszulę Ben.

— Byłaś dzisiaj bardzo sexy. Głos, ubiór, to wszystko... — pochwalił ją, gdy podeszła. — Jeżeli zrobiłaś to z myślą o mnie, to zadziałało. — Ben zignorował jej bliskie furii westchnienie i kontynuował. — Ale, do rzeczy... Nie jadłem nic od rana i jestem głodny jak wilk. Biegnij zmienić makijaż i będziemy mogli wyjść stąd.

Powiedz mu „nie” — odezwał się ostrzegawczy głos z głębi jej świadomości. Powiedz, że jesteś zbyt zmęczona, by wychodzić. Powiedz, że jesteś na skraju załamania nerwowego. Powiedz cokolwiek, ale nie zgódź się... Wiedziała bardzo dobrze, że powinna posłuchać tego ostrzegawczego głosu.

— Więc dlaczego — zadała sobie pytanie zmieniając makijaż — nie jestem mu posłuszna? Ben powiedział po prostu „chodź”, a ona poszła.

— Miałam rację — stwierdziła kremując twarz. — Jestem zupełną idiotką.

— Ale oczywiście, jeżeli rozegram to chłodno, nie

pozwalając ponieść się emocjom, to przecież mogę zjeść z nim kolację. — Błękitne oczy w lustrze wyrażały niezdecydowanie. — Ale chcę z nim być. Potrafię zapanować nad sobą — upewniła samą siebie i wstała od lustra.

— Oczywiście — dodała po chwili.

Ben czekał oparty niedbale o ścianę naprzeciwko wyjścia z jej garderoby. Gdy podeszła, w jego oczach zapaliły się znane jej już iskry. Przykleił się do niej wzrokiem.

— Mój głód rośnie i rośnie — szepnął próbując chwycić ją za rękę. — Ale za chwilę mam zamiar zaspokoić go.

Vichy nie próbowała nawet udawać, że nie zrozumiała, co chciał powiedzieć. Patrzyła na Bena i czuła, jak wzbiera w niej pożądanie. Igrała z ogniem i wiedziała o tym. Gdy chwycił ją za rękę, poszła bez słowa protestu.

Tak jak poprzedniego wieczoru na zewnątrz czekał samochód. I tak jak wczoraj, unikając powstania zbyt intymnej atmosfery, zabrał ją na wspaniałą kolację. Jedzenie było zwyczajne, ale bardzo dobre, i Ben potwierdził swoje zapewnienia o tym, że jest bardzo głodny. Niespodziewanie dla siebie Vichy po pierwszym kęsie również poczuła apetyt i zjadła prawie tyle co on.

Zanim sprzątnięto ze stołu i podano kawę, Ben wyciągnął z kieszeni płaskie pudełko.

— Mam coś dla ciebie — powiedział ciepło przesuwając pudełko w jej stronę. — Mały prezent dziękczynny...

— Ale na Święto Dziękczynienia nie daje się prezentów — powiedziała Vichy, uważnie przyglądając się pudełku.

— To zależy od tego, za co dziękujesz — uśmiechnął się. — Otwórz je. Zapewniam, że nic z niego nie wyskoczy.

Ostrożnie, jakby nie wierząc zapewnieniu Bena,

otworzyła pudełko i ujrzała złotą bransoletkę. Zaskoczenie odmalowało się na jej twarzy.

— Ben — westchnęła. — Nie mogę tego przyjąć. To musiało kosztować kupę pieniędzy. Zamknęła pudełko i przesunęła je po stoliku w jego stronę.

— Nie martw się o to, ile to kosztowało — położył dłoń na jej palcach i zatrzymał w pół gestu. Potem wyjął bransoletkę z satynowego wnętrza i założył na jej przegubie. — Powiodło mi się rano w grze w kości. Ten drobiazg, to dla uczczenia dobrej passy.

Kolacja nagle zaciążyła Vichy w żołądku. Ile razy słyszała podobne słowa od Brada? Co prawda, w głosie Bena nie było tego podniecenia, ale przecież był starszy i bardziej doświadczony od- Brada w tamtych latach.

Walcząc z uczuciem rozpacz, Vichy potrząsnęła ręką próbując zdjąć bransoletkę. Brad zawsze oczekiwał wdzięczności za dawane przez siebie prezenty. A Vichy z entuzjazmem okazywała tę wdzięczność. A jakiej wdzięczności spodziewa się Ben.

Vichy jeszcze raz spróbowała odpiąć bransoletkę, ale powstrzymała ją ręka Bena. — Ten drobiazg, może się łatwo zerwać, Vichy — powiedział prawie szorstko.

— Ben, ja... — słowa uwięzły jej w gardle. Spojrzała na jego twarz i przeraziła się jej wyrazem. Czy to możliwe, bym zraniła jego uczucia?

— Nie będę mógł się spotkać z tobą jutro — głos Bena przerwał jej myśli.

— Dlaczego? — w jej głosie pojawił się ton zawodu, którego nie miała prawa czuć. Twarz Bena odprężyła się.

— Ponieważ obiecałem synowi, że będę w domu na Święto Dziękczynienia — wyjaśnił. Wyprostował się w krześle i gestem przywołał kelnerkę i poprosił jeszcze o dwie kawy. — Mieszka z moim bratem Mike'em i jego rodziną — powiedział, gdy kelnerka zmieniała nakrycia. — Jest mu tam dobrze, ale spodziewa się zobaczyć

— mnie, gdy obudzi się jutro rano — zerknął na złoty zegarek i dodał. — Och, powinienem powiedzieć — dzisiaj rano.

— Oczywiście, doczeka się... — powiedziała Vichy ze zrozumieniem.

— Czy w domu twojego brata będzie świąteczny obiad?

— Bez wątpienia—uśmiechnął się Ben. — Shelly, moja szwagierka, jest doskonałą kucharką. Nie będę zaskoczony, gdy okaże się, że przez cały tydzień przygotowywała jedzenie. Prawdopodobnie już szykuje się do Świąt Bożego Narodzenia—nagle spowaźniał. — Shelly jest fantastyczna. Oprócz tego, że znakomicie gotuje, jest dobrą matką i wspaniałą gospodynią domową. — Wie, czego mężczyźnie potrzeba do szczęścia — dodał z uśmiechem.

Słyszając, jak Ben wychwala zalety Shelly, Vichy zaczęła zastanawiać się, dlaczego to robi. Co to ma znaczyć? Czy chce w niej wzbudzić uczucie zazdrości? Zawiści? Na szczęście Ben wyrwał ją z tych rozmyślań.

— Ty oczywiście też masz zamiar spędzić święta z rodziną, czyż nie?

— Tak—potwierdziła Vichy i uśmiechnęła się smutno do siebie.

— Zanim zaczęłam profesjonalnie występować, spędzałam z nimi prawie wszystkie święta — otrząsnęła się z zasmucenia. — Myślę, że będziemy razem również w Boże Narodzenie.

— To znaczy, że nie pracujesz w święta — zapytał nagle Ben.

— Nie — potrząsnęła głową, zdziwiona tonem, jakim padło to pytanie.

— Zostałam zatrudniona do końca tego tygodnia, a potem na weekend przed Nowym Rokiem.

— To znaczy, że wracasz do domu. Kiedy? — Ben uniósł brwi.

— Chcę wyjechać w sobotę rano — odparła—i dojechać do domu w porze, gdy wszyscy domownicy wrócą z kościoła.

— A gdzie jest twój dom?

— W Pensylwanii — odparła po długim milczeniu.

— Pensylwania to duży stan. — Ben starał się dokładniej dowiedzieć, gdzie mieszka.

— Niedaleko Lancaster.

— Jak niedaleko?

— Ben... — powiedziała z naciskiem.

— Vichy — szepnął łagodnie.

Vichy uśmiechnęła się do siebie. — To, że zjedliśmy dwie kolacje, nie upoważnia cię chyba do poznawania całej historii mojego życia.

— Nie pytam o historię twojego życia — skrzywił się Ben — tylko o adres.

— Fresno. Kalifornia — skłamała.

— Przedtem powiedziałaś, że Pensylwania.

— W Pensylwanii mieszkają moi rodzice — wyjaśniła szybko. — Odwiedzę ich w przerwie między występami Nie mieszkam już tam od ponad ośmiu lat — tym razem powiedziała prawdę.

— Więc podaj mi swój adres we Fresno — nalegał Ben Vichy zawahała się, czy podać mu swój były adres. W końcu, wyprowadzając się, nie podała dokąd, więc może to uczynić bez obawy.

Patrzyła na Bena, gdy zapisywał go w swoim małym czarnym notesie. Notes był pełen kobiecych imion i adresów' Każdy hazardzista—a przekonała się o tym kilka tygodni po poznaniu Brada—sprawia wrażenie, jakby znał tabuny kobiet Wygląda na to, że hazardziści lubią odmiany we wszystkim, co robią. Nagły dreszcz przebiegł jej przez plecy

— Zimno ci — zapytał Ben.

— Troszeczkę. Na dworze musi się robić chłodno Okno jest uchylone... skłamała.

— Więc chodźmy stąd — spojrzał na zegarek. — Wkrótce będę musiał ruszyć w drogę do domu. Dojeżdżali już prawie do hotelu, gdy Ben przerwał milczenie, jakie zapadło po wyjściu z restauracji.

— Czy będziesz się jutro dobrze czuła? — zapytał i dotknął jej delikatnie. Dotknął jej samotności. Problem polegał na tym, że nie chciała, aby dotykał jej hazardzista.

— Och, będę samotna — przyznała. — Ale zapewniam cię, przeżyję to jakoś — zaśmiała się gorzko.

— Przyzwyczyłam się do tego.

Ben chwycił jej ostre spojrzenie, gdy podjeżdżali pod wejście, ale nic nie odpowiedział. Niecałe pięć minut po tym, jak wysiedli z samochodu, Vichy obserwowała, jak Ben otwiera kluczem drzwi do jej pokoju. Uchylił je i odwrócił się do niej.

Czy ma zamiar powtórzyć to samo, co ostatniego wieczoru? Czy może mu stawić opór, jeśli zacznie? Czy naprawdę tego chce? Nie. Tak. Nie wiem? Stała tuż przed nim i ta bliskość zamgliła jej poczucie rozsądku. Ben ujął w dłonie jej twarz i pochylił się...

— Ben, nie — zaprotestowała cicho.

— Tylko jeden pocałunek na pożegnanie — szepnął, gdy zbliżał usta do jej warg. Wycisnął pocałunek z pasją i podniósł głowę.

— Będę tęsknił za tobą — szepnął, gładząc dłonią jej policzek. — Ale wrócę w piątek, dobrze?

— Będiesz za mną tęskniła—jego usta zajęły miejsce dłoni i szepnęły prosto do ucha.

— Tak — powiedziała Vichy, przyrzekając sobie, że nie pozwoli pocałować się jeszcze raz.

— Vichy — westchnął i nagle odstąpił krok od niej. — Muszę iść, obiecałem synowi... ale... Zrobił pół kroku w jej stronę i znieruchomiał.

Jego wiśniowe oczy płonęły. — Będziesz tutaj?

— Oczywiście — głos Vichy zadrżał pod wpływem gromadzących się w niej emocji.

Nagle podniósł ręce, chwycił jej głowę, przechylił i wpił się w nią ustami.

— Spotkamy się w piątek — wyszeptał. — Teraz idź już, zanim zmienię zdanie i nie pozwolę ci samej odejść.

Stał w miejscu cały napięty, zanim nie zamknęła i nie zakluczyła drzwi. Vichy oparła się o nie plecami, ciężko oddychając. Słyszała, jak odchodzi. Potem wolno i ostrożnie podeszła do łóżka.

Usiadła na brzegu, ścisnęła dłońmi kolana i wpatrywała się w drzwi, tocząc wewnętrzną walkę — zostać tu, czy wybiec za nim.

— Co się z nią stało? — Co on z nią robi? — krzyknęła cicho. — Nie jest przecież podatną nastolatką, by zostać wytraconą z równowagi przez pieszczoty. Tak, tak właśnie się czuje — wytracona z równowagi, bliska płaczu.

Przestała wpatrywać się w drzwi i opuściła wzrok na ręce kurczowo zaciśnięte na kolanach. Złota bransoletka pobłyskując przypomniawsza o sobie.

Prezent z okazji „dobrej passy”. Rzuciła się na łóżko, a w pokoju rozległ się tłumiony szloch.

W domu jej rodziców, na trzecim piętrze, na samym dnie kartonu z jej rzeczami znajdowało się skórzane pudełko na kosztowności. Zawierało kilka dość drogich pierścionków, kolczyków, broszek i bransoletek. Wszystkie były prezentami z okazji dobrej passy. Vichy zamknęła to pudełko sześć lat temu. Od tego czasu nie otwierała go. Mogła sprzedać tę biżuterię, mogła ją rozdać komukolwiek, bo nie miała już ona dla niej żadnego znaczenia. Zatrzymała ją z jednego, prostego powodu — by pamiętać, jak małą wartość mają rzeczy ofiarowane bez prawdziwego uczucia. Brad nigdy naprawdę jej nie kochał.

Teraz inny mężczyzna, inny hazardzista ofiarowuje jej błyskotkę jako prezent z okazji dobrej passy.

Chwilę po tym jak oświadczył, że pragnie jej. Coś ścisnęło ją za

gardło i Vichy odwróciła się twarzą do poduszki. Co takiego sprawia, że jest dla niego atrakcyjna? Co takiego czyni go atrakcyjnym dla niej? Bała się, nie, była przerażona, że to, co tak ją do niego pociąga, wykracza poza sferę czystej zmysłowości. Skuliła się w kłębek i zasnęła.

Obudziła się tak, jak zasnęła, w ubraniu, wymięta i zmęczona. Rozejrzała się po pokoju i podjęła stanowcze postanowienie — nie wolno się jej poddawać. Gdy ugruntowała je w swoim umyśle, zaczęła przygotowywać się do występu.

Niespodziewanie dla niej na sali znajdowało się o wiele więcej ludzi niż można było oczekiwać w czasie poprzedzającym święta. Wdzięczna za uwagę, postanowiła zaśpiewać dając z siebie wszystko, na co ją stać. Entuzjastyczne przyjęcie widowni spowodowało, że czas między pierwszą piosenką popołudniowego występu a ostatnią, kończącą wieczorne przedstawienie, minął w sposób niezauważalny, acz miły.

Mając w perspektywie powrót do pustego pokoju, Vichy przyjęła od towarzyszących jej muzyków zaproszenie na drinka do nocnego baru. Było to dla nich sporą niespodzianką, ponieważ ponawiali zaproszenie co noc i co noc spotykało się ono z delikatną odmową.

Usiadła przy barze obok perkusisty i zastanawiała się przez chwilę, czy jej koledzy wiedzą lub domyślają się, z jakiego powodu odmawiała.

— Co za orka, nie? — rzucił gitarzysta, nie wyjmując z ust papierosa i nie spodziewając się odpowiedzi. — Ta robota w każde święta, to kanał.

— Taa — mruknął perkusista. — Ta robota, to jedyna sprawa, w której nie mogę dojść do porozumienia z moją starą — przerwał i i zaśmiał się. — Oczywiście z wyjątkiem forsy.

— Co stało się z tym koleśm, który zabawiał cię do tej pory? — mruknął gitarzysta do Vichy znudzonym tonem.

— Pojechał na święta do domu — rzuciła zsuwając się z barowego stołka. Jednej rzeczy nie mogłaby teraz znieść— pytań o tego „kolesia”. Potrzęsając głowę odrzuciła propozycję następnego drinka i zanim wyszła, złożyła wszystkim życzenia wesołych świąt.

Zmęczona, ale nie senna wzięła w swojej łazience gorący prysznic i wskoczyła do łóżka, zamierzając rozpocząć lekturę romansu, który kupiła w sklepie z pamiątkami owego pamiętnego poniedziałku. Czytała właśnie bardzo poruszający fragment, gdy pukanie do drzwi sprawiło, że książka wypadła jej z ręki. Pukanie rozległo się ponownie i Vichy z lekkim zwróciła oczy w stronę drzwi. Kto to może być, na Boga?

— Vichy?

Chociaż głos zza drzwi był bardzo cichy, nie mogło być mowy o pomyłce. Vichy poczuła nagły przypływ radości, wyskoczyła z łóżka i pobiegła otworzyć.

— Ben — wyszeptała jego imię, gdy Ben wsunął się przez uchylone drzwi i dotknął jej warg chłodnymi ustami.

Nie przerywając pocałunku, cofnęli się do pokoju, a Vichy zamknęła drzwi, popychając je nogą. Przedmiot, który Ben trzymał przed sobą, powstrzymał Vichy przed przytuleniem się do jego ciała. Oderwała się na moment i spostrzegła, że Ben trzyma dużą, papierową torbę.

— Co to jest?! — gdy podniosła wzrok na twarz Bena, głos zamarł jej w gardle. Jego wiśniowe oczy jakby pieściły ją, a uśmiech nadawał obliczu wyraz łagodności.

— To? — wskazał na torbę. — Miałem przeczucie, że nie jadłaś dzisiaj kolacji. Czy mam rację? Zanim zdążyła odpowiedzieć, położył torbę i wyjaśnił. — To jest, mój skowronku, kolacja w Święto Dziękczynienia, zestaw wszystkich potraw łącznie z winem.

— Ale, pora... — Vichy zaczęła się śmiać.

— Nie ma znaczenia — odpowiedział łagodnie. — Teraz ja tu jestem...

Vichy zamierzała polemizować z tym twierdzeniem, ale nie była w stanie. Wszystko, co znajdowało się na zewnątrz pokoju, straciło znaczenie — teraz on był najważniejszy.

— Ale nie mam tutaj stołu — zaśmiała się.

Ben szybko rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na dywanie.

— Więc będziemy mieli świąteczny piknik — zdecydował, przekładając torbę na podłogę i zdejmując płaszcz.

Vichy zaparło dech w piersiach, gdy spojrzała na Bena i usłyszała jego propozycję. Zwykle ubierał się w garnitur lub sportową kurtkę, łącząc to z koszulą lub bluzą od dresu. Teraz miał na sobie wytarte jeansy, opinające biodra i uda, i równie podniszczoną bawełnianą koszulkę z wypłowiałym emblematem college'u, pod którą wyraźnie zaznaczała się jego muskularna klatka piersiowa i bicepsy.

W dalszym ciągu wpatrując się w Bena, Vichy jęknęła — Piknik? Tutaj? Teraz!?

— Czy masz czysty, biały ręcznik? — zapytał.

— Tak, ale...

— Żadnych „ale”. Przynieś ręcznik i resztę zostaw mnie.

Vichy przyniosła z łazienki ręcznik i wypełniając polecenie Bena, rozpostarła go na podłodze obok łóżka. Klękawszy na brzegu ręcznika, Ben postawił przed sobą torbę i jak magik wyjmując króliki z cylindra, tak on zaczął wyciągać z torby różne pakunki. Układał je na ręczniku i objaśniał ich zawartość.

— Sandwich z indykiem, sałata, konserwowe pomidory, pikle, oliwki, chrupki ziemniaczane, plastikowe sztuczki, papierowe talerzyki i serwetki, prawdziwe kieliszki do wina i — zrobił pauzę dla większego efektu — rewelacja wieczoru — butelka musującej Asti.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Vichy oparła się plecami o bok łóżka i ciężko westchnęła. Nie przypuszczała nawet, że była tak głodna. Na ręczniku-obrusie został ostatni kawałek sandwicha z indykiem. zaproponowała, żeby zagrali o niego. Ben wyciągnął monetę, ustalili, komu orzeł, a komu reszka i podrzucił ją do góry. Zwyciężyła Vichy i natychmiast pochłonęła swoją wygraną.

Potem podniosła kieliszek i powoli sączyła wino przypatrując się znad jego krawędzi Benowi. Siedział po turecku po drugiej stronie ręcznika i wyglądał bardzo atrakcyjnie. Gdy ich spojrzenia spotkały się, zapytał — Jesteś jeszcze głodna?

— Co? — Vichy przełknęła ślinę. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Patrzysz na mnie tak zgłodniałym wzrokiem... — odparł — że aż mnie ciarki przechodzą.

Szukając odpowiedniej riposty, Vichy zatopiła wzrok we wnętrzu kieliszka. Mówić o ciarkach!

Po małej chwili atmosfera stała się bardziej swobodna — zachowywali się jak niefrasobliwi uczniowie na

wagarach. Ben zaczął opowiadać, oczywiście koloryzując i przesadzając, o latach swojego dorostania. — Gdy brałem udział w zajęciach sportowych, moja matka nie mogła nawet na chwilę spuścić ze mnie wzroku — zaczął wspominać ze śmiechem.

— Gdy grałem w koszykówkę i zdarzyło się jej na moment spojrzeć w inną stronę, gdy tylko odwróciła się z powrotem, mogła zobaczyć mnie leżącego na boisku i walczącego o piłkę z innym graczem. Mówiła, że nikt inny nie przynosi do domu tyle siniaków, zadrapań i zwichnięć.

— Grałeś ostro? — zapytała Vichy.

— Cóż, powiedzmy, że wkładałem w grę całe serce — odparł. — Pamiętam jeden wyjątkowy mecz w baseball. Mama stała oczywiście na trybunie, a ja broniłem pierwszej bazy. Podający rzucił piłkę, a ja puściłem się galopem do drugiej bazy. Drugi baseman chwycił ją i wykonał szeroki zamach nad moją głową. Rzuciłem się na nią i upadłem prosto pod nogi nadbiegającego gracza.

— Co się stało — zapytała Vichy pochłonięta przez opowiadanie Bena.

— Wpadł na mnie, ja poleciałem na prawo od linii, on na lewo, a piłka diabli wiedzą gdzie.

Wylądowałem w szpitalu z lekkimi obrażeniami i potłuczeniami... Biedna mama... Jestem pewien, że osiwiła wyłącznie z mojego powodu.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się. — Mama zawsze powtarzała, że też kiedyś tego doświadczę, i miała rację. Mój syn już kilka razy znalazł się w szpitalu, gdy bronił pierwszej bazy.

— Wygląda, że jabłko nie padło daleko od jabłoni — Vichy obserwowała go uważnie, i zupełnie zmieszała ją błyskawiczna odpowiedź — Sądzę, że nie.

Potem zmienił temat i znowu zaczął ją rozśmieszać. Vichy nie pamiętała już, kiedy ostatnio tak się śmiała.

Bawili się znakomicie. Po chwili Ben zaczął nieznacznie zmniejszać dzielącą ich odległość. Dopiero resztkę wina, Vichy zaczęła sprzątać po pikniku, mając świadomość, że Ben śledzi każdy jej ruch.

Nagle pochwycił ją w tali i przewrócił na podłogę obok siebie.

— Ben, jest już późno — Vichy spróbowała się podnieść. — Myślę, że powinieneś już iść. Ben pociągnął ją i po prostu przygwoździł swoim ciałem do podłogi. Odczuwając lekki niepokój, Vichy patrzyła w jego oczy.

— Myślałem o tobie przez cały dzień — pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w okolice ucha.

, — Gdy z synem oglądałem w telewizji paradę z okazji Święta Dziękczynienia, myślałem o tobie — wyszeptał, pieszcząc językiem koniuszek ucha.

— Gdy jadłem wspaniały obiad przygotowany przez Shelly, myślałem o tobie — jego oddech delikatnie łaskotał jej kark.

— Gdy z synem i Mike'em oglądałem mecz, myślałem o tobie — wyszeptał.

— I gdy leżałem w łóżku, próbując zasnąć, myślałem o tobie — jego usta przesunęły się w kierunku gardła i zaczął pieścić je czubkiem języka.

— Ty... — Vichy mówiła z trudnością. — Ty już położyłeś się do łóżka?

— Tak — uśmiechnął się lekko. — Zamierzałem wyjechać wcześniej rano. Poszedłem spać, zaraz po tym jak powiedziałem synowi „dobranoc”. Jego usta znowu powędrowały z szyi w kierunku ucha. — To była strata czasu. Nie mogłem zasnąć. Myślałem tylko o tobie i o tym, jak bardzo chciałbym być przy tobie, jak teraz.

Strach i obawa opuściły jej rozgrzane ciało. Jego wyznania zamglily jej myśli, dotyk ciała podniecił. Odpowiedziała szeptem. — Też o tobie myślałam.

Ben wsunął palce w jej włosy i zbliżył usta do twarzy.

— Obejmij mnie, pocałuj, pokaż, że tęskniłaś tak bardzo jak ja.

Bez zastanowienia Vichy zarzuciła ręce na jego plecy i przyciągnęła do siebie. Usta zetknęły się ze sobą gwałtownie.

Poczuła, że jego palce, pieszcząc, przesuwają się po plecach szukając zapinki stanika. Ogarnął ją nagły lęk i oderwała usta od jego warg.

— Ben, nie.

— Jestem mężczyzną, Vichy, nie chłopcem — szepnął chropawo. — I nie rezygnuję z raz obranej drogi. Przytulił ją mocno i jednym ruchem odpiął stanik. Potem drżącymi palcami rozchylił jej bluzkę. W jego wiśniowych oczach błyszczały ciemne ogniki, gdy ogarniał wzrokiem jej ciało.

— Czy pragniesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie? — wpił spojrzenie w jej falujące, pełne piersi.

Pochylił głowę i powiódł czubkiem języka dookoła jej stwardniałych sutków.

Przebłysk świadomości przebił się przez talę podniecenia. Ale to, co robił z jej piersiami, pieszcząc je i nadgryzając delikatnie ciemne pesteczki, było tak erotyczne, że Vichy przylgnęła do jego ciała.

Powinna się bronić, wiedziała o tym. Ben rozluźnił nieco uścisk i przesunął ponad nią jedną, muskularną nogę. Ręce w tym czasie przesuwały się wzdłuż brzucha coraz niżej. Pieściły, zatrzymując się na biodrach, powracały na brzuch i coraz bardziej zbliżały się do tego miejsca. .

Ciepły dotyk na podbrzuszu włączył alarm w głowie Vichy. Przesunęła się i odwróciła gwałtownie na bok.

— Ben, przestań... Boję się... — zatkała.

— Boisz się — Ben podniósł głowę. — Vichy, jesteś doświadczoną kobietą, byłaś mężatką, musieli być w twoim życiu mężczyźni...

— Nie — przerwała jego zmieszany ton. — Nie było mężczyzn. Nie pozwoliłam dotknąć się żadnemu Dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Dobry Boże — westchnął Ben wsuwając rękę pod jej głowę. — Od jak dawna nie byłaś z mężczyzną?

— Od sześciu lat — wyznała.

— Nie ma się czego bać — szepnął do jej ucha. — Nie zranię cię. Nie chcę tego robić. Popatrz na mnie.

— Ben ja...

— Popatrz na mnie.

Drugą ręką objął ją za ramię i spróbował odwrócić w swoją stronę. Vichy poddała się temu łagodnemu gestowi. Spojrzała w jego zacienione oczy.

— Pragniesz mnie — wyszeptał. — Wiem, że tak. I ja pragnę ciebie. Nie myśl o tym, co było. To już minęło. Obejmij mnie. A ja zaprowadzę cię do takiego miejsca, gdzie nie ma bólu ani strachu, tylko przyjemność dla nas obojga.

Jego łagodny głos działał jak balsam na jej rozedrgane myśh. Delikatny dotyk obudził znowu tygrysicę śpiącą w jej wnętrzu.

— Pocałuj mnie — szepnęła, czując wzrastające podniecenie. — Kochaj mnie, zabierz mnie tam...

Pierwszą myślą, jaka pojawiła się w jej głowie po przebudzeniu, było, że musi być już południe. Ostre światło wdzierało się do pokoju.

— Przecież jestem zupełnie naga — pomyślała zaraz potem.

Wraz z powracającą świadomością zaczęła czuć ciężar przygniatający lekko górną część jej ciała.

Dokładniej, tym ciężarem było ramię leżące na jej piersiach

Ben.

Wspomnienia ostatnich godzin pojawiły się w jej

umyśle i Vichy westchnąwszy cicho zamknęła oczy i pozwoliła się im unieść.

Obiecał, że weźmie ją tam, gdzie nie ma bólu ani strachu i szepcząc czułe słowa bez związku, ale o jasnym znaczeniu, całując ją i pieszcząc, ustami i dłońmi -dotrzymał obietnicy.

Vichy była już tam w czasie swojego krótkiego związku z Bradem, ale Ben spowodował, że wyglądało to zupełnie inaczej, że odkryła coś zupełnie innego.

Możliwe, pomyślała sennie, że to miejsce jest królestwem o wielu prowincjach, stanowiących całość, a jednak różniących się między sobą. I całkiem prawdopodobnie uśmiechnęła się, że w każdej z tych prowincji odczuwa się coś innego, od przyjemnego nastroju, przez ekstazę, aż do zupełnego zatracenia. Zaśmiała się głośniej, gdy poczuła obok siebie poruszenie, które położyło kres jej fantazjom.

— Dzień dobry — poczuła w okolicy ucha delikatny, ciepły oddech. Instynktownie odwróciła się w stronę ust, które wypowiedziały te słowa.

_ Dzień dobry — odpowiedziała i pocałowała je.

— Czujesz się dobrze - zapytał, dotykając ustami jej warg w przerwach między każdym słowem.

— Cudownie — odparła uśmiechając się. — A ty? - Też cudownie - szepnął, przesuwając rękę w stronę układających się na poduszce włosów Vichy. Zaczął je powoli pieścić.

Jego ręka błędziła, szukała i pieściła, wywołując nowe podniety! Vichy odwróciła się, przyciskając piersi do jego klatki piersiowej, **by** jeszcze bardziej poczuć jego obecność.

— Czy było ci dobrze - zapytał, opuszczając głowę i całując ją w szyję.

- Bardzo - wyznała, zanurzając palce w jego włosach.

— A czy mogę to powtórzyć?

— Tak...

Gorący strumień wody spływał wzdłuż jej ciała zmywając resztki senności. Obudziła się przed chwilą i gdy zerknęła na budzik stwierdziła, że dawno już minęło południe. Jeżeli się nie pośpieszy, nie zdąży nawet wypić kawy przed wyjściem do pracy.

Wyszła spod prysznic i ostrożnie wytarła całe ciało zanim zdjęła z głowy czepek kąpielowy. Jednym potrząsnięciem głową rozpuściła włosy i odgarnęła je z twarzy. Ciemne fale opadły na jej plecy.

Usiadła na małym taborecie i wsunęła nogi w spodnie. Wstała, podciągnęła je i zapięła pasek. Wyszła z łazienki w momencie gdy Ben wracał do życia.

— Hej — uśmiechnął się patrząc na nią półprzytomnym wzrokiem. .

— Hej — odpowiedziała spoglądając na niego. Leżał nagi na rozkopanej pościeli i wyglądał kusząco. Jednak przypomniała sobie, że czas ją goni, podeszła do toaletki usiadła i zaczęła się malować.

Widziała go kątem oka w lustrze.

— Fizyczna aktywność pobudza apetyt — powiedział przeciągając się. — Zgłodniałem. A ty?

— Mhuum' — mruknęła Vichy, ostrożnie nakładając puder na policzki. — Marzę o filiżance kawy. Chwyciła szczotkę do włosów i szybkimi ruchami zaczęła je układać.

— Daj mi szczotkę i pozwól, że ja to zrobię — Dowiedział Ben siadając na łóżku.

— Ben, czas... — zaprotestowała delikatnie.

— Obojętnie, czy ty, czyja to zrobię, zajmie to tyle samo czasu. Vichy z westchnieniem wzięła szczotkę i podeszła do łóżka. Podała mu ją i usiadła tyłem na krawędzi.

Łagodnymi, wolnymi ruchami Ben cesał jej włosy spoglądając z satysfakcją, jak rozpływają się na jej nagich plecach.

— Kocham twoje włosy — powiedział. — Przypomi-

nają mi słodką, ciemną czekoladę. Gwałtownymi gestem przewrócił ją plecami na łóżko i pocałował. - Kocham ciemną czekoladę.

Klatką piersiową Vichy wstrząsnął dreszcz i zacisnęła usta, by nie krzyknąć. Jak często powtarzał słowo kocham" przez ostatnich kilka godzin. — Kocham gładkość twojej skóry — szeptała.

— Kocham kształt twoich ust — mówił dotykając ich czubkiem palca.

— Kocham kochać się z tobą — dyszał, gdy jego przyśpieszony oddech zwalniał.

Ale nigdy nie powiedział — kocham cię.

Oczywiście, na to jest za wcześnie. Znają się dopiero niecał/tydzień - pomyślała Vichy gdy Ben z ozyi na jej wargach kolejny pocałunek. Stanowili dla siebie olbrzymią atrakcją, ale Vichy już dawno wyrosła z wieku w którym wierzyło się, że fizyczna atrakcyjność wywołuje uczucie miłości.

Wyprostowała się i podniosła z łózka.

— Co się stało?

— Nic — odparła, nie patrząc na niego. Usiadła przy lustrze tak, by nie widzieć jego odbicia Nic. Nic poza tym, że jestem zakochana i obawiam się, że nie potrafię nad tym zapanować.

— Dlaczego tak gwałtownie odeszłaś — zapytał.

— Chcę się napić kawy — odparła zwyczajnie. — A jestem już spóźniona. Sam mówiłeś, że jesteś wyglodniały.

W tym momencie Vichy uświadomiła sobie, że poza spodniami, nie ma nic na sobie. O Boże - westchnęła cicho. - Dlaczego on nie idzie do łazienki? Z zakłopotaniem posłała mu krótkie spojrzenie. Zawahała się widząc jego nagość.

— Myślałem, że marzysz o filiżance kawy — odparł uświadamiając jej, dlaczego się zawahała.

— Ben, proszę...

— Oczywiście, jeśli zmieniłaś zamiar — usadowił się wygodniej na łóżku i odgarnął kołdrę zapraszającym gestem — Dlaczego nie wskoczysz tu na pół godzinki?

Błysk złości przemknął po jej twarzy. Bez słowa podeszła do szafy z ubraniami i stojąc plecami do Bena zdjęła spodnie.

— Odwróć się, Vichy.

To było delikatne polecenie, ale jednak polecenie

— Ben!

— Odwróć się.

Jego głos był łagodniejszy, ale ton polecenia bardziej ostry.

Podnosząc dumnie głowę, Vichy odwróciła się w jego stronę niezdolna do zapanowania nad rumieńcem, który okrył jej policzki.

Ben bez słowa przejechał powoli wzrokiem od głowy do stop i z powrotem.

— Spójrz na mnie.

Vichy poczuła, jak rumieniec pali jej twarz.

— Jesteś piękną kobietą — powiedział z uczuciem — i nie powinias czuć się zakłopotana. Zwłaszcza wobec mnie.

Dobrze możesz się już ubrać — dodał — ale będę przyglądał się temu. Uwielbiam patrzeć, jak kobiety się ubierają.

— Przestań, Ben! — zawołała jeszcze bardziej zakłopotana. Świadomość, że będzie obserwowana, spowodowała, że gwałtownie odwróciła się w stronę szafy i chwyciła to, co znalazło się pod ręką.

Na szczęście w jej dłoni znalazło się to, co chciała wybrać. Czując przyklepione do ciała spojrzenie Bena wsunęła się w spodnie, zapięła stanik i wciągnęła przez głowę ciemnomorelowy sweter. Na nogi założyła brązowe sandały z cienkich rzemyków. Przyglądała nerwowo włosy i odwróciła się do Bena.

— Niesamowite — gorąco zaaprobował jej wybór. Powiedziawszy to, odsunął kołdrę i wstał z łózka. Vichy wlepiła wzrok w jego muskularną męską postać. Patrzyła iak urzeczona i siłą woli musiała zmusić się, by oderwać od niego wzrok. Boże, był wspaniały. Nie widziała jeszcze tak doskonale zbudowanego mężczyzny. Czy nadal uprawiał sport — pomyślała.

— Cóż — zapytał usilnie próbując nie zmieniać dumnego wyrazu twarzy.

— Niesamowite.

Po raz kolejny jego uśmiech zabrzmiał w małym pokoju.

- Jesteś bezcenna, wiesz o tym ? — zapytał, krztusząc się jeszcze od śmiechu. — Idź już, jeżeli jeszcze chcesz iść, kochanie. Spotkamy się na dole w kawiarni za piętnaście minut — dodał.

Ben pojawił się dwie minuty przed obiecany czas. Vichy zdążyła już wypić sok, zjeść tosta z francuskiej bułki i dopijała właśnie drugą kawę, gdy przysiadł się do stolika.

— Tylko tyle zjadłaś — zauważył.

— Nigdy nie jadam obfitych śniadań — odpowiedziała Vichy, przypatrując się jego świeżo ogolonej i na-kremowanej twarzy. Ubrany był w ciemnobrązowe spodnie i złotawy pulower z brązowym paskiem biegnącym na linii piersi. Ten pasek akcentował szerokość jego ramion i Vichy poczuła dreszcz na wspomnienie, jak te mięśnie grały pod lśniąca skórą.

Była wdzięczna, że Ben studiował w tym czasie menu i nie zauważył jej pełnego miłości spojrzenia. Podnosząc filiżankę Vichy uznała, że słowem „miłość nie można nazwać tych wszystkich uczuć, które oładnęły ją, gdy patrzyła na niego. Och, chłopcze, trafiłeś w czas — pomyślała.

Dwudziestodwulatce można wybaczyć głupie zachowanie. Ale nie uchodzi to kobiecie, która ma prawie trzydzieści lat.

Nie — otrząsnęła się wewnętrznie. — Nie mogę być zakochana. To tylko czysto fizyczne zauroczenie, czyż nie? Jakby unikając odpowiedzi na to pytanie rozejrzała się po kawiarni i zdusiła westchnienie. Jak przez mgłę usłyszała głos Bena zamawiającego śniadanie i spojrzała na twarz kelnerki. Wyraźnie była zainteresowana Benem. Widać było, że jego atrakcyjność robi na niej wrażenie.

Emocje, które rozgorzały w Vichy, były jej obce, ale potrafiła je nazwać. Utopiła wzrok w filiżance i uświadomiła sobie, że jest zazdrosna. I jednocześnie dotarło do niej, że jednak jest zakochana. Nagle poczuła, że chce być przez chwilę sama. Wypiła resztkę kawy i odsunęła krzesło.

— Hej — zaprotestował Ben. — Dokąd idziesz?

— Do pracy — odpowiedziała unikając jego wzroku.

— Ale jeszcze nie czas — spojrzał na zegarek i dodał. — Skąd ten nagły pośpiech?

— Żaden pośpiech — skłamała. — Mam małe problemy z jedną piosenką, i chcę przećwiczyć ją z chłopakami. Mówiąc to wstała i odeszła. Ben poderwał się ze swojego miejsca i dogonił ją. — Spotkamy się później — stwierdził, a może zapytał.

— Dobrze — powiedziała i zawahała się. — Och, Ben... — chwyciła jego głowę w dłonie i pocałowała mocno w usta w obecności wszystkich. I wyszła z kawiarni odprowadzana przez zdziwione spojrzenia.

Mijające godziny tej i następnej doby przesypywały się przez palce Vichy jak złoty piasek.

Powiedziała Benowi, że ma zamiar pojechać do domu w niedzielę rano. Choć nie wyglądał na uszczęśliwionego tym pomysłem, nie protestował.

Siedząc jak zwykle przy tym samym stoliku, prawił jej komplementy za każdym razem, gdy kończyła występ i dołączała do niego. Jednego, jak i drugiego dnia zapraszał ją na szybki posiłek między przedstawieniami,

a w nocy na kolację w hotelowej restauracji. Zostawił też swój drogi apartament, w obydwie noce przebywając w jej małym pokoju.

Nie rozmawiali zbyt wiele, ale trzymali się za ręce, dotykali. Późno w sobotę w nocy, gdy wrócili do jej małego pokoju, Ben poruszył temat, którego starannie unikali. .

— Zostań ze mną jutro na cały dzień — powiedział poważnym tonem. Chyba nie ma powodu, dla którego musiałabyś być wcześniej w domu? I nie czekając na odpowiedź rzekł — Nie muszę wracać do pracy wcześniej niż w poniedziałek rano.

— Ty masz pracę — zdziwiła się Vichy, będąc przekonana od czasów Brada, że hazardziści pracują tylko uprawiając hazard.

— Oczywiście, że mam pracę — teraz Ben się zdziwił. Jego oczy wyrażały rozbawienie. — Ja... och... zajmuję się w pewnym stopniu badaniami. Czy myślałaś, że żyję z prywatnych zasobów lub czegoś w tym rodzaju?

— Nie, cóż — Vichy zmieszała się. — Nic wiem, co myślałam... Wiedziała dokładnie. Była przekonana, że nie ma żadnej pracy. Świadczyło o tym choćby to, co robił w ostatnim tygodniu:

— Mhu — westchnął potrząsając głową, **gdy** mu to wyjaśniła. Zapewniam cię, że mam pracę. I w każdym razie będę zajęty nowym projektem, który zaczynam realizować w poniedziałek rano, co w połączeniu z obietnicą daną synowi w Święto Dziękczynienia sprawia, że mój czas będzie raczej dość wypełniony, aż do Świat Bożego Narodzenia. Sobota będzie ostatnim dniem, który możemy spędzić razem. Potem spotkamy się dopiero po świętach.

— Ale, zrozum, Ben, obiecałam rodzinie, że będę w domu w południe. Poza tym nie lubię prowadzić w nocy...

— W porządku, rozumiem to. Ale możesz zostać aż do popołudnia. Jeśli wyjedziesz po tym, jak razem zjemy lunch, to będziesz w domu przed zmierzchem. Droga do Lancastera nie powinna zająć ci więcej niż trzy godziny.

Gdy jednak poparł swoje argumenty pocałunkami rozsiewanymi po jej rękach i twarzy, Vichy zgodziła się zostać.

— Wczesnym rankiem w sobotę Ben kochał się z nią zbyt gwałtownie, na skraju przemocy. Szeptał uspokajające słowa, których Vichy prawie nie słyszała. Pieścił ją na krawędzi bólu w ekstazie krzycząc na nią.

Minął poranek, minęła pora lunchu i nadszedł czas, w którym nie mogła już dłużej odkładać wyjazdu. Ben zniósł jej walizki i pomógł zapakować do bagażnika samochodu. Potem odwrócił się do niej i chwycił za rękę.

— Będę tutaj dzień po świętach — jego głos brzmiał dziwnie matowo.

— Tak — szepnęła Vichy napięta do granic.

— Będę — obiecał i pochylił głowę, całując ją bardzo delikatnie.

Potem puścił rękę i odstąpił o krok. — Wesołych Świąt, Vichy! Spotkamy się za cztery tygodnie.

— Tak — powtórzyła Vichy. Podeszła i wtuliła się w jego klatkę piersiową. Potem pocałowała i powiedziała — Wesołych Świąt, dla ciebie i dla syna! Odwróciła się i wsiadła do samochodu.

Dopiero po godzinie jazdy uderzyło ją to, że zapomniała zupełnie zapytać Bena, jaki rodzaj pracy wykonuje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez całą drogę powrotną Vichy walczyła z pragnieniem, by zawrócić. Jednak nie mogła zawrócić. Byłoby to bezcelowe, bo Ben powiedział, że wyjedzie natychmiast po tym, jak spakuje walizki i ureguluje rachunek w hotelu.

Dzień zapowiadał się słoneczny, ale w porze lunchu na niebie pojawiły się ciemne chmury. Im bardziej Vichy posuwała się na wschód, tym bardziej niebo nad nią ciemniało i gęstniało.

Była niecałe dziesięć kilometrów od domu, gdy zaczęło padać. W tym momencie poczuła lekki żal do Bena, że z jego powodu nie wyjechała w zaplanowanym terminie. Naprawdę nie lubiła prowadzić w nocy, gdy miała do pokonania dłuższą trasę. I nie cierpiała wręcz jazdy w deszczu. Na szczęście już po chwili z westchnieniem ulgi zjechała na boczną drogę prowadzącą do domu jej rodziców. Pierwsza wybiegła jej na spotkanie, jak parę tygodni wcześniej — Bette.

— Cześć — zawołała. — Przyjechałaś akurat na kolację. Jak poszły występy?

— Bardzo dobrze — uśmiechnęła się Vichy. — O wiele lepiej niż się spodziewałam.

Otworzyła bagażnik i zaczęła wyjmować walizki.

— Grupa, która mi akompaniowała, była bardzo dobra — uśmiechnęła się. — Z nimi brzmiałam bardzo dobrze.

— Bzdury — skrzywiła się Bette biorąc walizkę. — Dla mnie zawsze brzmisz bardzo dobrze.

— Tak, ale tobie słoń nadepnął na ucho — zaśmiała się Vichy, gdy wchodziły do domu.

— Może i nadepnął, ale staram się oceniać obiektywnie... Roześmiały się razem.

— Co to jest — zapytał ojciec wychodząc z kuchni — godzina chichotów? Jediną reakcją, jaką usłyszał, był następny wybuch śmiechu.

— To przyjemne słyszeć, że znowu razem się śmiejecie — powiedział i wziął Vichy w ramiona. — Witaj w domu, kochanie. Uściskał ją serdecznie, tak że musiała poprosić, żeby wreszcie ją puścił.

— Jak ci poszło — powtórzył pytanie Bette.

— Gładko — odpowiedziała Vichy — opowiem wam o wszystkim przy kolacji. Z wyjątkiem paru szczegółów — pomyślała — które chciałabym zataić również przed sobą.

Tak jak mogła się spodziewać, pierwsze słowa matki brzmiały: — I jak ci poszło?

W czasie kolacji, składającej się jak zwykle w soboty z sandwicha i domowej zupy, Vichy opowiedziała mniej więcej, co zdarzyło się przez ten tydzień. Ale ponieważ nikt z rodziny nie był od dawna w Atlantic City, musiała również opisać miasto i hotel, w którym mieszkała. Po kawie i zjedzeniu wspaniałego, domowego placka matka spojrzała z niepokojem w okno zalewane strugami deszczu.

— Mam nadzieję, że deszcz nie wróży zmiany pogo-

dy — zauważyła. — Modłę się, aby do przyszłego tygodnia utrzymała się słoneczna pogoda.
— A co takiego stanie się w przyszłym tygodniu — zapytała Vichy.
— Ma przyjechać Josh z rodziną. Zapowiedział, że będą w poniedziałek — wyjaśniła. — Josh pomoże ojcu zakładać na zewnątrz świąteczne lampki.
— To nie będzie śmieszne — krzyknęła Bette. — Cały dzień z tym rozpuszczonym Robertem.
— Cicho bądź, Bette! — uśmiechnęła się matka. — Twój siostrzeniec nie jest rozpuszczony. Jest, może, trochę bardziej... żywy niż chłopcy w jego wieku.
Uwaga matki na temat wnuka wywołała w Vichy wspomnienie. „Zawsze przynosiłem do domu więcej siniaków, zadrapań i zwichnięć niż inni sześciolletni chłopcy”. Czy Ben był taki sam jak jej siostrzeniec Robert? Zaśmiała się bezgłośnie. Trudno było wyobrazić sobie jego w roli małego, wcielonego diabła. Chociaż, jak zdążyła się przekonać, wykazywał niekiedy takie cechy charakteru.
— Zasniesz na siedząco, Vichy? — szturchnięcie Bette przerwało jej potok wspomnień. Vichy uśmiechnęła się.
— Przepraszam — powiedziała i spojrzała na wszystkich przy stole. — Jestem trochę zmęczona. Zrobię tylko porządek i wskakuję do łóżka.
— Nie musisz nic robić — odparła śmiejąc się Bette. — Gdy masz kogoś tak chętnego do pomocy, nie musisz nic robić. Jeśli chcesz, idź zaraz spać. Przygotowałam nawet twoje łóżko.
— Bette, to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Powinnaś zostać kanonizowana za życia.
— I ja tak uważam — dodała matka, i wszystkie zaczęły się śmiać.
— O Boże — westchnął ojciec. — Zesłałeś mnie

miedzy trzy hałaśliwe kobiety... Sądzę, że mogę ukryć się jedynie za sobotnią gazetą — dodał wychodząc z kuchni.

Vichy, Bette i matka wymienili spojrzenia i znowu wybuchnęły śmiechem jak nastolatki.

Po rozpakowaniu walizek Vichy wskoczyła do łóżka, położyła się na plecach i zapatrzyła w sufit.

Tęskniła za Benem bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić.

Co on teraz robi, w tej chwili? — zadała sobie pytanie. I gdzie jest? Nigdy nie pytała go, gdzie jest jego dom. Jego zdawkowe „gdzieś w New Jersey” było dalekie od podania dokładnego adresu. Ale ona też wzdbraniała się przed określeniem swojego miejsca zamieszkania. Też powiedziała, że mieszka gdzieś w Kalifornii. Nie podała nawet telefonu swoich rodziców.

Już lepiej liczyć barany przed zaśnięciem — westchnęła głośno. To przynajmniej nie ma żadnego związku z Benem.

Jednakże trudno jej było uchwycić się jakiegokolwiek innej myśli.

Dzień po Bożym Narodzeniu — te słowa brzmiały w umyśle Vichy jak cicha modlitwa. Ostatnie, o czym pomyślała przed zaśnięciem, to to, że od czasu gdy przestała być dziewczynką nigdy tak mocno nie czekała na nadejście świąt.

Była przekonana, że dni będą wlokły się w nieskończoność, ale dzięki matce, tak się nie stało.

W poniedziałek rano, nie mając nic do roboty i nie musząc nigdzie wychodzić, Vichy ubrała się w stare jeansy i koszykarską bluzę. Gdy schodziła do kuchni, wypełniło ją uczucie zadowolenia. Matka ubrana równie niedbale w spodnie i flanelową koszulę ojca czyściła kuchenkę.

Kuchnia sprawiała wrażenie jakby przeszło przez nią małe tornado. Okna bez firanek wyglądały goło. Krzesła zostały zsunięte pod jedną ścianę, a zegar i inne drobiazgi wiszące nad szafkami leżały na stole.

— Mamo, co robisz — zapytała Vichy.

— Tańczę — odparła.

Tak, mama mając sześćdziesiąt lat wykazywała ciągle to samo poczucie humoru, co w wieku lat trzydziestu. Vichy roześmiała się.

— Sok jest w lodówce, pieczywo w koszyku, a kawa w dzbanku. Obsłuż się sama — powiedziała matka i wróciła do wykonywanej czynności.

Po przesunięciu rzeczy zalegających narożnik stołu, Vichy usiadła przy nim i naląła sobie kawy. Poczekwała, aż z tosterki wyskoczą dwie grzanki z chleba z rodzynkami. — Nie powinnaś tego robić — zwróciła się do matki.

— Tylko w ten sposób mogę dojść do celu — uśmiechnęła się, patrząc na córkę. — Przecież nie jestem zniedołężniała, wiesz o tym.

— Wiem — Vichy potrząsnęła głową. — Ale wykonujesz co najmniej dwa razy więcej roboty niż osoby w twoim wieku. To mnie niepokoi. Nie powinnaś tego robić — uśmiechnęła się. — Dlaczego nie usiądziesz i nie wypijesz ze mną kawy. Gdy skończę śniadanie, umyję kuchenkę.

Vichy i matka spędziły prawie cały tydzień na sprzątanii domu. Z kuchni przeniosły się do jadalni, a potem zajęły się resztą pomieszczeń, nie wyłączając trzeciego piętra. W sobotę rano poważanie, jakim darzyła matkę, zamieniło się prawie w podziw. Z rzadka używane mięśnie prawie bolały ją z nadwyrężenia, podczas gdy matka, która nie tylko sprzątała, ale jeszcze zajmowała się gotowaniem, była żwawa jakby nigdy nie słyszała o „porządkach świątecznych”.

— Wyglądasz, jakbyś spędziła ten tydzień w kamieniołomach — orzekła na widok Vichy Bette. Sama przezornie ukrywała się w tym czasie, tłumacząc to zajęciami w szkole. — Mama powinna zostać marszałkiem polnym — dodała.

— Trochę ciężkiej pracy jeszcze nikomu nie zaszkodziło — stwierdziła mama, odwracając się od stołu, na którym przygotowywała śniadanie.

— Możesz siadać, młoda damo — powiedziała do Bette.

— A ty, Vichy, krzyknij na ojca, żeby przyszedł na śniadanie. Jest chyba w stodole.

Wybiegając z kuchni, Vichy poczuła się jakby znowu była małą, szczęśliwą dziewczynką w domu swoich rodziców.

Mijały spokojne i jasne godziny. Zamieszania narobiło dopiero przybycie w południe Josha z żoną Caroline i „rozpuszczonym” Robertem. Przyciskając w czasie powitania do siebie tego -pięcioletniego chłopca, Vichy stwierdziła, że wcale nie jest rozpuszczony, tylko trochę inny.

Niestety już po południu musiała poddać swój osąd ostrej weryfikacji. Roberta było wszędzie pełno. Uganiały się za nim z matką i nie mogły go upilnować. Bette, przeczuwając co się święci, wyszła po obiedzie z chłopakiem.

Pod wieczór, gdy już zrobiło się wystarczająco ciemno, by zapalić światła, wszyscy wyszli przed dom obejrzeć przystrojoną przez ojca i Josha choinkę. I wszyscy westchnęli z podziwem, gdy sznury czerwono-białych żarówek oświetliły dom swoim blaskiem.

— Nie mogę uwierzyć, że do świąt zostały niecałe trzy tygodnie — wyznała Caroline, gdy wracali do domu. — Mam jeszcze tyle do zrobienia, a czas leci tak szybko...

— Może dla ciebie — pomyślała Vichy — ale dla mnie tydzień wlecze się w żółtym tempie. Nagle doszła do wniosku, że musi się zająć czymkolwiek, żeby przestać myśleć o Benie, o tym, jak bardzo chciałaby być z nim. Pobiegła więc do kuchni przygotować kolację.

— Widok oświetlonego domu podsunął mi pewien

pomysł — wyznał Josh przy kolacji. — Dlaczego nie mielibyśmy wszyscy przejechać się do Wioski Bożego Narodzenia w Bernville? Spodobałoby się to Robertowi.

— Nie tylko Robertowi — pomyślała Vichy.

Jak wielu mężczyzn Josh lubił uczestniczyć w przygotowaniach do świąt. Kochał każdą spędzoną w ten sposób chwilę i jego entuzjazm udzielił się innym.

— To dobry pomysł — zgodził się ojciec. — Pozwolę nawet Vichy prowadzić.

— Jesteś w tym o wiele lepszy ode mnie — odparła — ale masz rację, to dobry pomysł. Nie byłam tam chyba od piętnastu lat.

— Czeka cię mała niespodzianka — dorzuciła Bette, która dopiero co wróciła do domu i zdążyła dołączyć do kolacji. — Byłam tam w zeszłym roku z kilkoma dziećmiakami i wioska mocno się powiększyła. Na parkingu stało wtedy dwadzieścia autobusów turystycznych.

To nie była prawdziwa wioska, ale jej miniatura z małymi domkami i ścieżkami, udekorowanymi świątecznie i oświetlonymi. Stanowiła własność pewnego farmera, który na początku traktował ją jako hobby, aż w końcu stworzył atrakcję, przyciągającą corocznie tłumy ludzi.

Patrząc na Roberta, który podziwiał stojące przed sklepem z pamiątkami wycięte z dykty postacie z filmów Disneya, Vichy pomyślała, że chciałaby — tak jak Josh i Caroline — iść teraz pod ramię z Benem, a obok biegałby jego syn, wskazując na coraz to nowe odkrycia. To głupie — pomyślała — przecież nigdy nie widziałam nawet fotografii jego syna.

Gdy już zwiedzili wszystko, co było do zwiedzenia, Vichy poczuła ochotę na filiżankę gorącej kawy. Weszli więc do baru stojącego nieopodal parkingu. Wewnątrz było pełno ludzi. Vichy zerknęła na zegar wiszący nad kontuarem i przeraziła się — byli już tu od ponad dwóch godzin. Nic dziwnego, że Robert zaczął się robić senny

i zmęczony. I doceniła zapobiegliwość Caroline, która przed wyjazdem założyła mu najpierw piżamę, a na to ciepłą, przeciwśniegową kurtkę i spodnie. Robert mógł położyć się na tylnym siedzeniu i zasnąć w drodze powrotnej do domu, a widząc jak trze oczy, Vichy stwierdziła, że chyba zaraz to zrobi.

Po pożegnaniach, uściskach i pocałunkach na parkingu rozjechali się każdy w swoją stronę. Gdy znaleźli się na drodze prowadzącej do domu rodziców, Vichy zapragnęła jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Drugi tydzień upłynął prawie identycznie jak pierwszy, z tym wyjątkiem, że matka wpadła na pomysł dokonania wypieku świątecznych ciasteczek. Większą część tygodnia spędziły mieszając, ugniatając, wycinając ciasto, łuskając orzechy, przygotowując lukier...

Głównym miejscem przygotowań i wszystkich czynności związanych z wypiekiem został, przyniesiony z pokoju jadalnego, duży okrągły stół. Wytarty kilkakrotnie czystą bawełnianą ściereczką spełniał rolę stolnicy i miejsca, na które wysypywano ciasteczka po wyjęciu z piekarnika. W środe stół pokrywały całkowicie, uformowane tak, by mieściły się od razu w ustach, ciasteczka. Polane lukrem i czekoladą, z orzechami i kandyzowanymi owocami.

Vichy nie pomagała przy takim wypieku, od kiedy skończyła osiemnaście lat, tak więc z radością chłoneła każdą chwilę.

Gdy Bette po południu wróciła ze szkoły, w całym domu unosił się zapach pieczonego ciasta. Po chwili powiedziała to, o czym przez cały czas myślała Vichy. — Mhuuun, pachnie świętami! Czuję się znowu jak mała dziewczynka. Chciałabym, aby dni mijały jak najszybciej.

Oczywiście świąteczne marzenia Vichy miały niewiele wspólnego ze smakiem cukierków, widokiem owiniętych

w kolorowy papier prezentów. Skupiała się na obejmujących ją rękach i ustach składających długi pocałunek.

W piątek wieczorem usiadły z matką przy kuchennym stole. Na środku leżało pudełko ze świątecznymi kartkami. Mama wypisywała życzenia, a Vichy adresowała je, słuchając opowieści, co też wydarzyło się przez ostatnie lata u tych ludzi, których nazwisko wypisywała.

W weekend cała czwórka — mama, ojciec, Bette i Vichy — zabrała się za dekorowanie wnętrza domu. Kuchnia, jadalnia i living room otrzymały ręcznie wykonane bądź kupione w sklepie ozdoby choinkowe, ponieważ drzewka nie można postawić wcześniej, niż w tygodniu poprzedzającym święta.

W poniedziałek następnego tygodnia przy śniadaniu matka oświadczyła, że jest gotowa do wyruszenia po świąteczne zakupy.

Ojciec odpowiedział gromkim westchnieniem, ponieważ tak jak uwielbiał porządki, pieczenie i dekorowanie domu, tak nie znosił robienia zakupów.

— Spokojnie, mój drogi — powiedziała matka. — W tym roku nie będziesz potrzebny. Damy sobie same z Vichy doskonale radę.

Ojciec podniósł pytająco brwi patrząc na Vichy.

— Wszystko, co możesz zrobić — dodała matka — to dać nam pieniądze!

— Wietrzyłem w tym jakąś pułapkę — odparł próbując dokopać się do portfela.

Poranek był jasny i słoneczny, ale w powietrzu czuło się już ten zapach zwiastujący nadejście zimy.

Po drodze do samochodu Vichy wzięła głęboki oddech, a gdy wypuściła powietrze, pojawił się obłoczek pary.

— Dokąd jedziemy, mamó? — zapytała, gdy usiadły w samochodzie.

— Zaczniemy od Lancasteru — odparła uświadamiając Vichy, że będzie musiała jeszcze w tym tygodniu przejechać nieco kilometrów.

Prowadząc samochód obserwowała widoki przesuwające się za szybą. W tych stronach dorastała. Pola, niektóre w odcieniach brązu, niektóre ciemnożółte czekały na nadejście wiosny i na farmerów, którzy tchną w nie nowe, zielone życie.

Niedaleko skrzyżowania z drogą do Lititz ostrożnie wyprzedziła czarną, ciągniętą przez konia dwukółkę, którą powoził ubrany w szarą kurtkę mężczyzna.

— Widzę, że ciągle ryzykują życie podróżując w ten sposób.

— Tak... — odparła matka. — Nadal tak robią. Ale ludzie jeżdżą dzisiaj jeszcze bardziej nieostrożnie, stąd tyle wypadków...

Rzucając krótkie spojrzenie na dwukółkę niknącą we wstecznym lusterku, Vichy uśmiechnęła się smutno. To naprawdę wstyd — pomyślała — bo te wózki bardziej niż cokolwiek lub ktokolwiek stały się znakiem charakterystycznym dla wschodniej Pensylwanii. Maraton zakupów rozpoczęły na przedmieściu Lancaster... Gdy zmęczona Vichy opadła wieczorem na bujany fotel stojący w living roomie, tak zrelacjonowała Bette przebieg wyprawy po zakupy.

— Po tym jak obleciałyśmy już wszystkie sklepy w Lancasterze, wpadłyśmy po drodze do Park City, spędzając tam resztę dnia i tracąc resztę pieniędzy — westchnęła. — We wtorek pojechałyśmy do Reading. Mama obskoczyła nie tylko wszystkie sklepy w centrum, ale zaciągnęła mnie jeszcze na Berkshire Mail i Fairgrounds Square Mall, na przedmieściu. Pod koniec opowiadania Bette prawie płakała ze śmiechu.

Vichy wymieniła jej całą, długą listę sklepów, które odwiedziły i dodała — ... i możesz mi nie wierzyć, ale pojechałyśmy aż do Allen town.

— Oczywiście, wierzę ci — śmiała się Bette — sama przeżywałam to nieraz.

Robiąc zakupy Vichy, już sama nie pamięta, ile razy, myślała o Benie. Czy powinna kupić mu jakiś mały prezent i podarować po świętach? W końcu wybrała złotą spinkę do krawata.

W sobotę wieczorem ojciec przyniósł prawie dwumetrowej wysokości choinkę i ustawił ją w metalowym stojaku. Po godzinie w całym pokoju pachniało żywicą.

Zaraz po niedzielnym obiedzie pod nadzorem matki wszyscy zabrali się za ubieranie drzewka.

Gdy rodzice i Bette poszli już spać, Vichy zeszła do pokoju z kieliszkiem białego wina. Usiadła na sofie i cicho włączyła płytę z kolędami w wykonaniu Freda Waringa. Z rozmarzeniem spojrzała na błyszczącą choinkę. I tak jak pierwszej nocy po przyjeździe z Kalifornii odżyły w jej głowie wspomnienia głosów.

— Mattie, jeżeli się nie pośpieszysz, schodzimy bez ciebie — krzyczał w stronę łazienki ośmioletni Josh, biegnąc w tę i z powrotem po podejście pierwszego piętra. Vichy, odkąd tylko pamięta, siadała na najwyższym stopniu schodów prowadzących do living roomu. Było oczywiste, że w świąteczny poranek muszą tam wejść wszyscy razem. Pięcioletnia Vichy nie wiedziała, że Mattie dlatego tak długo marudzi w łazience, żeby dać ojcu czas na zapalenie świeczek i położenie pod choinką prezentów.

— To najpiękniejsza choinka — mówiła pięcioletnia Bette. Stawali potem wszyscy w rzędzie według wzrostu i wchodzili do pokoju.

— Och, Tom, jest naprawdę piękny — szeptała osiemnastoletnia Mattie ze łzami w oczach, gdy jej przyszły mąż dawał jej zaręczynowy pierścionek z brylantem w obecności całej rodziny Sweigartów w Boże Narodzenie.

Vichy mrugnęła, gdy refleks światła błysnął jej w oczy. Starła gwałtownie łzy z policzków i jednym haustem wypła wino. Przez cały dzień, nie wiedząc dlaczego, czuła się na krawędzi płaczu. A teraz uświadomiła sobie, że spowodowane to było spóźniającym się okresem.

Nigdy nie należała do kobiet, u których cykl miesięczkowy był regularny i dlatego, głupia, nie przywiązywała specjalnej wagi do tego, że termin minął na początku zeszłego tygodnia. Była zbyt zajęta pracą i nie miała czasu na liczenie, a powinna mieć.

Ostatnie dni przed świętami były wypełnione wizytami przyjaciół i znajomych, których Vichy nie widziała od lat. Na dzień przed Bożym Narodzeniem przyjechali nie tylko Mattie, Tom i Brenda, ale również Nan z mężem, Mitchem. Cały dom trząsł się od śmiechów.

Wkrótce po kolacji, po życzeniach wesołych świąt, pocałunkach i wyściskaniu przez rodzinę pojechali dalej do Williamsport. Vichy znowu musiała hamować łzy.

W bożonarodzeniowy poranek w domu panowała cisza. Pod choinką leżały zapakowane prezenty, czekając na przybycie w porze obiadu Josha z rodziną.

Zupełnie inaczej wyglądały popołudnie i wieczór. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, a najbardziej matka, dokazując z Robertem.

Jednak dla Vichy czas płynął dużo wolniej. Chyba tysiąc razy w ciągu tego dnia przyłapała się na myśli — Jutro. Jutro spotkam się z Benem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ben.

To była jej pierwsza myśl, gdy obudziła się następnego dnia. Przewyciężając pragnienie, by wrzucić rzeczy do walizek i wskoczyć do samochodu, Vichy zeszła, by zjeść śniadanie razem z rodziną.

— Czy nie zmieniłaś zamiarów i naprawdę chcesz dzisiaj wyjechać? — zapytała matka. — Wujek John i ciotka Katie będą niepokieszeni, gdy pojedziemy do nich bez ciebie.

— Nie wyłączając Marka — zachichotała Bette.

— Oczywiście, nie wyłączając Marka — zawtórowała jej Vichy.

— Dziewczeta — przerwała im matka. — Nie bądźcie niemile. Mark jest miłym młodym mężczyzną.

— Ale nudnym — dorzuciła Bette.

— Jest uczciwy, ciężko pracuje — kontynuowała matka, nie zwracając uwagi na docinki Bette.

— I obydwoma nogami stoi mocno na ziemi — ironizowała Bette.

— Mark jest rozważny — z naciskiem stwierdziła

matka. — Jest dobrym synem i na pewno będzie znakomitym ojcem i mężem.

— I stary, nudny Mark będzie świetnie pasował do Vichy... — Bette nie dała za wygraną.

Matka z westchnieniem pochyliła się nad swoim talerzem. Nikt nie próbował polemizować ze złośliwymi uwagami Bette, dlatego że polegały one na prawdzie. Mark Hartman „pasował się” do Vichy, jeśli nie od zawsze, to w każdym razie od momentu, od którego Vichy mogła to pamiętać. I chociaż wszystko, co na jego temat powiedziała matka było prawdziwe, rację miała również Bette — Mark był nudny.

Między rodziną Hartmanów a rodzicami Vichy nie było żadnego pokrewieństwa. Luke Sweigart i John Hartman pochodzili z sąsiadujących ze sobą farm i chowali się razem od dzieciństwa. To, że nazywano go wujkiem, a jego żonę ciotką, przyjęło się zwyczajowo. Mark rodziców Vichy też nazywał wujostwem.

Mark miał trzydzieści pięć lat, ale będąc jedynakiem, rozpieszczonym do granic przyzwoitości przez nadopiekuńczość matki, zachowywał się czasami jakby miał co najmniej sześćdziesiąt. Vichy darzyła go siostrzanym uczuciem, ale nic więcej. Mark należał do tego typu ludzi, którym nigdy nie zdarzyło się wyjść w czasie deszczu bez parasola, płaszcza przeciwdeszczowego i kaloszy.

— Przykro mi mamó — nie dokończyła Vichy, bo w tym momencie w drzwiach kuchni stanął ojciec i zapytał: — Z jakiego powodu ci przykro?

— Poprosiłam Vichy, by zastanowiła się, czy musi dzisiaj wracać do Atlantic City — odparła matka.

— Wiem, że John, Katie i Mark będą bardzo zawiedzeni, jeżeli przyjedziemy bez niej.

— Oczywiście, że będą zawiedzeni — powiedział ojciec—ale rozumiem, że Vichy chce dzisiaj wyjechać. W ten sposób uniknie zbytniego pośpiechu—dodał w jej obronie.

— Oczywiście — przytaknęła Vichy, szczęśliwa, że ojciec poddał jej uzasadnienie szybkiego wyjazdu. — Jeśli zostanę do jutra, będę miała tylko kilka godzin na przygotowanie się do występu. Jeżeli wyjadę dzisiaj, zdążę się dobrze wyspać i zacznę pracę odświeżona. Nie dodała tylko, że żadna siła nie jest w stanie powstrzymać jej przed umówionym spotkaniem z Benem.

— Lepiej nie nalegaj, mamo — przyszła jej w sukurs Bette — Mark będzie mógł westchnąć sobie rozczarowany. Jeżeli oczywiście wie, jak się to robi — dodała.

— Tego już za wiele Bette — matka spojrzała na nią surowo. — Myślałam, że lubisz Marka?

— Lubię — broniła się Bette dusząc śmiech.

— Ona sobie stroi żarty, Joanno — uśmiechnął się ojciec. — Jeżeli będziesz miała szczęście i zignorujesz ją, to może da ci spokój i pójdzie sobie.

— Jak można zignorować kogoś, kto ma tak niewyparzoną gębę — zapytała matka. . . .

— Okay — Bette uśmiechnęła się niewinnie. — Zamknę się i udam na wygnanie. , , ,

Zmienił się temat rozmowy i wszyscy spokojnie dokończyli śniadanie. Nazwisko Hartman wypowiedziała dopiero Vichy, gdy rodzice i Bette byli już gotowi do drogi.

— Ucałujcie ode mnie wujka Johna, ciotkę Katie i Marka. I powiedzcie, że przyrzekam pojawić się na początku nowego roku.

W końcu po trzykrotnym zapewnianiu matki, że będzie jechała ostrożnie, Vichy została sama.

Odwróciła się w drzwiach i wbiegła po schodach do swojego pokoju. Zaczęła się w pośpiechu pakować. Spojrzała na budzik i doszła do wniosku, że jeśli uda się jej wyjechać za godzinę, to w Atlantic City będzie w porze lunchu.

Czy Ben już będzie, gdy przyjadę — zastanawiała się biegając między łazienką a otwartą walizką spoczywającą na łóżku. A co, jeśli go nie będzie? Zmartwiała w połowie

drogi między szafą z ubraniami i łóżkiem. Powinien być' Musi być!!

Nie widziała go od czterech tygodni, teraz na samą myśl o nim poczuła dreszcze. Czy to możliwe, by tak mocno zakochać się w tak krótkim czasie? Vichy stwierdziła, że to me tylko możliwe, ale że przytrafiło się właśnie jej. Czy już raz nie dostała nauczki, czym to się może skończyć? Zapłaciła bólem za ten pośpiech. Czy chce płacić jeszcze raz?

Trzęsąc się cała dokończyła pakowanie. Poza faktem, że obydwaj uprawiali hazard, ci mężczyźni nie mają zé sobą nic wspólnego. W przeciwieństwie do Brada, Ben był rozsądny, ostrożny i miał pracę. — Będzie tam — upewniała sama siebie Vichy, nucąc zasłyszana w święta kolędę.

Była na drodze niedługo po tym, jak wyjechali jej rodzice. Chociaż ruch na stanowej autostradzie był spory, Vichy zdażyła przed szczytem. Skręcając na obwodnicę Filadelfii utknęła w korku. Poruszając się w żółwym tempie, wśród dźwięku klaksonów naciskanych przez zirytowanych kierowców dotarła w końcu na most Walta Withmana nad Delaware. Po przejechaniu przez rzekę skręciła na autostradę Atlantic City.

Jadąc ze stałą prędkością w umiarkowanym tłoku dojechała do miasta. Po zameldowaniu się u swojego managera poszła do tego samego małego pokoju, który zajmowała cztery tygodnie wcześniej i zaczęła się rozpakowywać, nad słuchując każdego odgłosu na korytarzu.

Co teraz? Ułożyła swoje rzeczy i stała niezdecydowana na środku pokoju. Czy Ben już przyjechał? Czy w tej chwili jest w swoim pokoju?

Myśl o tym, że Ben może się znajdować w pobliżu, spowodowała poruszenie w jej głowie. Nie mogła spokojnie ustać. Poprawiła włosy, umalowała usta i wybiegła z pokoju.

Hall recepcyjny wyglądał jak dom wariatów. Vichy rzadko zdarzało się widzieć tylu ludzi tłoczących się na tak małej powierzchni. Gdy w końcu wymawiając niezliczoną ilość razy „przepraszam” i „proszę mi wybaczyć” dopchała się do recepcjonisty, ten powitał ją miłym uśmiechem.

— Czym mogę służyć?

— Czy zameldował się już pan Ben Larkin — zapytała z wahaniem.

— Larkin — recepcjonista rzucił okiem do księgi. — Nie, proszę pani, przykro mi.

Zawiedziona, już wykonała krok, by odejść, gdy nagle zaświtała jej w głowie jeszcze jedna nadzieja.

— Czy może mi pan jeszcze powiedzieć, czy pan Larkin zarezerwował pokój? — zapytała.

— Chwileczkę — recepcjonista odszedł od lady. Gdy wrócił po chwili, na jego sympatycznej twarzy wypisana była odpowiedź — Nie, proszę pani, nie mam rezerwacji na takie nazwisko.

— Dziękuję — Vichy spróbowała się uśmiechnąć. Ben nie przyjechał, nie ma go tutaj — ta myśl natarczywie krążyła jej po głowie. Nagle poczuła się potwornie zmęczona. Przeciskając się przez tłum roześmianych ludzi była bliska płaczu, jak skrzywdzone dziecko. Nie tylko pod wpływem ciekawych spojrzeń, ale siłą woli powstrzymała się przed tym i spróbowała wziąć się w garść.

— Kawa! Muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłabym spokojnie wypić kawę — rozkazała sobie.

— I przestań się rozklejać.

Znalazła nieopodal małą restaurację i gdy tylko pojawił się przy jej stoliku kelner, zamówiła kawę. Zapytał, czy nie ma może ochoty na coś jeszcze, na przykład sałatkę, która jest specjalnością szefa kuchni.

Zgodziła się na sałatkę, ale gdy zrealizował zamówienie

wienie, zainteresowała się wyłącznie kawą. Piła powoli, parząc wargi i usiłując zaprowadzić spokój w myślach. Ostatnie słowa Bena brzmiały — Zobaczymy się za cztery tygodnie. Więc gdzie jest? Czy coś go zatrzymało? — pomyślała, czy może zmienił zdanie i postanowił nie dotrzymać danej jej obietnicy.

Vichy poprosiła kelnera o jeszcze jedną kawę, a gdy ją przyniósł, zauważyła, że skrzywił się nieznacznie na widok nie ruszonej sałatki.

— Nie odpowiada pani sałatka — zapytał, jakby właśnie zjadł cytrynę.

— Nie... sałatka jest znakomita — odparła Vichy podnosząc widelec.

— No idź już, proszę — dodała w myślach.

Gdy tylko kelner odwrócił się, odsunęła sałatkę i pograżyła się znowu w myślach. Ben Larkin, gdzie on jest do cholery?!

— Możliwe, że zatrzymał się w innym hotelu — Vichy uchwyciła się nowej nadziei. Oczywiście! Jaka z niej idiotka! Przecież sama widziała tłumy gości, więc całkiem prawdopodobne, że Ben nie mógł dokonać rezerwacji właśnie w tym hotelu. Na pewno wybrał inny...

Ta myśl spowodowała nie tylko poprawę jej nastroju, ale również zaostrenie apetytu. Nagle rzuciła się na sałatkę. Musiała przyznać, że w istocie była godna polecenia. Gdy podniosła filiżankę, by dopić kawę, światło zamigotało na jej złotej bransoletce, jakby chciało mrugnąć do niej porozumiewawczo. Uśmiechnęła się do siebie i stwierdziła, że zachowywała się jak nastolatka. To nie ma sensu. W znakomitym nastroju posłała uśmiech kelnerowi, który już wystarczająco zdziwiony jej poprzednim zachowaniem podszedł z rachunkiem. Vichy zapłaciła i wyszła.

Przez cały dzień czekała w pokoju starając się nie tracić optymizmu. Około siódmej wyszła coś szybko zjeść.

Wróciła po niecałej godzinie. I na wszelki wypadek, gdyby Ben czekał na korytarzu, przybrała dumny wyraz twarzy. Nikt nie czekał. Vichy weszła do pokoju, zła na idiotkę, która w niej siedziała i zaczęła chodzić od ściany do ściany — czekając, czekając, czekając.

Parę minut po dziesiątej, zmęczona przystanęła obok toaletki i sięgnęła po leżące tam papierosy.

Wytrząsnęła z paczki jednego i włożyła do ust. Sięgnęła po zapalniczkę...

— Do diabła — skarciła się. Udało się jej nie palić przez ostatnie tygodnie. Odłożyła więc papierosa na toaletkę i weszła do łazienki.

— Czy nie nauczyłaś się jeszcze — powiedziała do swojego odbicia w lustrze — że nie można ufać mężczyznom, a już szczególnie hazardzistom. Wycierała usta ręcznikiem, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

— Vichy?

Ben! Ręcznik opadł na podłogę, a z Vichy opadły lęk i niepewność ostatnich godzin. Jakby się paliło podbiegła do drzwi. Straciła kilka cennych sekund na mocowanie się z zamkiem i otworzyła je.

— Gdzie by... — tylko tyle zdążyła powiedzieć, zanim znalazła się w uścisku zdolnym połamać kości.

— O Boże, myślałem, że nigdy się tu nie dostanę — wyszeptał Ben. Jego usta były chłodne, ale po połączeniu z wargami Vichy stały się cieplejsze.

Vichy wciągnęła go do środka i zamknęła drzwi. Połączyli się w długim pocałunku, tak długim, że zdążyła zapomnieć o godzinach czekania.

— Smakujesz pastą do zębów — uśmiechnął się Ben. — Nie zamierzałaś chyba iść do łóżka beze mnie?

Vichy poczuła, jak gardło ściska jej wzruszenie. O Boże, wyglądał tak wspaniale! Wiedziała, że jest w nim zakochana. Nigdy nie należała do tego typu kobiet, które potrafią przyłgnąć do mężczyzny, a teraz poczuła, że jest

od niego do końca zależna. Zaczęła się bać swoich emocji. W odruchu samoobrony rozluźniła jego uścisk i wyrwała się.

— Co się stało — zapytał zdziwiony Ben, próbując znowu ją przytulić.

— Nic się nie stało — potrząsnęła głową. — Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz...

Ben potrząsnął ją lekko za ramiona, zanim pochylił głowę i pocałował.

— Mówiłem ci przecież, że będę.

— Tak, ale...

— Zasiedziałem się trochę u moich rodziców — przerwał jej. — Planowałem pojechać z synem wcześniej rano, pobyć przez chwilę i wrócić tutaj. Ale oprócz Mike'a i jego rodziny było tam pełno ciotek, wujków, kuzynów... Nie widziałem się z niektórymi od lat i nie mogłem tak po prostu odejść — uśmiechnął się. — Zostałem więc przez cały dzień spoglądając na zegarek. W końcu uciekłem po kolacji. Przerwał na chwilę, by ją pocałować. Potem powiedział: — Pakuj się, jedziemy stąd.

— Pakuj się, jedziemy? — Vichy zgłupiała. — Co to znaczy?!

Ben wyciągnął jej walizkę i położył na łóżku.

— Wynająłem pokój w motelu za miastem. Właściwie tuż nad brzegiem morza — rzekł otwierając walizkę. — Tam są o wiele bardziej komfortowe warunki niż tutaj.

— Aleja... — Ben przerwał jej pocałunkiem.

— Co? — zapytał. — Zaplanowałaś, że zostaniemy tutaj?

Czy tak? Vichy przeciągnęła ręką po włosach. Myślała o nim zawsze i wyobrażała go sobie w tym pokoju. Była pewna, że tu zostaną...

— Tak — odpowiedziała i poczuła, jak robi się jej gorąco.

— W porządku — rzekł. — Chyba nie myślałaś, że

możemy tu zostać — ręką zakreślił krąg po małym pokoju. — Będziemy zderzali się, próbując wykonać najmniejszy ruch. Zatrzymałem się, by zarezerwować pokój w motelu i zostawiłem tam swoje rzeczy. Jest o wiele większy i bardziej komfortowy. A łóżko jest prawie dwa razy tak duże jak to — wskazał kciukiem za siebie. — Więc chodź, Vichy! Załóż tylko spodnie, spakuj walizki i jedziemy stąd! Mój samochód czeka przed wejściem. Zadzwoń też, by wyprowadzili z parkingu twój wóz.

— Założyć tylko spodnie? Na koszulę nocną?! Oszalałeś?! Nie mogę tak wyjść.

— Założysz jeszcze płaszcz i nikt nic nie pozna — uśmiechnął się. — Zaoszczędzimy sporo czasu i szybciej znajdziemy się w naszym pokoju.

Słowa „nasz pokój” dokonały cudu. Vichy błyskawicznie zabrała się do pakowania rzeczy i po niecałych trzydziestu minutach była już gotowa. Tak jak zapewniał Ben, pokój był o wiele większy. Miał nawet mały aneks kuchenny. Sprawiał wrażenie połączenia sypialni z salonem. Jeszcze jeden powód, dla którego przyjechałem tak późno — powiedział Ben, gdy postawił na podłodze walizki i podszedł do wnęki kuchennej. Otworzył małą lodówkę. Była wypełniona po brzegi.

— Zrobiłem małe zakupy. Jesteś głodna?

— Odrobinę — przyznała Vichy, spoglądając na niego.

— I ja — powiedział i podszedł do niej wolno. Przyciągnął jej ręce do bioder i przytulił ją mocno do swojego silnego ciała. — Więc na co czekamy — szepnął i dotknął czubkiem języka jej ust. — Mhummm, tak, będę cię miał na deser.

Wszystkie myśli o jedzeniu wyleciały jej z głowy. Została tylko jedna płonąca potrzeba zaspokojenia głodu, który odczuwała od czterech tygodni.

Szepcząc jego imię, wyprężyła swoje delikatne ciało.

— Pragnę cię — jak przez mgłę dotarły do niej słowa Bena.

— Ja pragnęłam cię przez cały czas.

Bardzo powoli, rozkoszując się każdą chwilą, Ben zaczął rozpinać jej spodnie i ściągać koszulę. W jego wiśniowych oczach zamigotały ciemnoczerwone iskierki. Spoglądał na nią przełykając ślinę, jak człowiek umierający z pragnienia.

— Ben, proszę dotknij mnie, kochaj mnie...

Pokój zawirował. Ben wziął ją na ręce i zaniósł w stronę łóżka...

Jest coś niesamowicie erotycznego w blasku złota, zdobiącego nagie ciało kobiety.

Vichy wróciła do życia, gdy zimny metal dotknął jej rozgrzanej skóry. Powietrze było zimne i stąd jeszcze intensywniej czuła ciepło spoczywającego obok ciała. Poruszyła się i z jeszcze większą intensywnością poczuła dotyk metalu. Otworzyła oczy i spojrzała w dół. Dookoła jej piersi wił się złoty łańcuszek. Co to jest — pomyślała. Rodzaj zapłaty? Poczowała zimno pod wpływem tej myśli.

— Wesołych Świąt.

W głosie Bena czuć było ciepło i spokój, Vichy spojrzała na jego delikatnie uśmiechniętą twarz i w tym momencie poczuła wszechogarniające, wzruszające ciepło.

— Nie mogłem się oprzeć — w kącikach ust igrał diabelski uśmiezek. — Wygląda wspaniale — uśmiechnął się szeroko. — Jak małe dziecko, nie mogłem doczekać się, aż wstaniesz i otworzysz pudełko. Chciałem zobaczyć, jak komponuje się z twoją skórą. I nie mogłem powstrzymać się, aby nie położyć tego w tym miejscu. Czy to sprawiło ci przyjemność?

— Tak — Vichy wyszeptała wzruszona. — Wielką. Dziękuję.

— Miło mi. — Lubię sprawiać tobie różne przyjemności.

Vichy zaczęła całować najpierw jego ramiona, potem szyję, aż wreszcie dotarła do ust.

— Wyglądasz naprawdę na zadowoloną, prawie wniebowziętą — śmiały się jego oczy. — Kto mógłby pomyśleć, że pod tą chłodną powierzchownością ukrywa się taka namiętna kobieta?

Policzki Vichy wypełniły się żarem pod wpływem jego dotknięcia. Nie potrafiła zamaskować swojego uczucia. Jak mogłaby zresztą po tej nocy? Stało się ono jeszcze silniejsze po tych godzinach spędzonych w jego ramionach.

Ben powoli wstał i przeszedł nago parę kroków. Vichy znowu mogła obserwować jego wspaniałą sylwetkę. Płoneła, gdy podszedł do niej. Buzujący w niej płomień równy był temu, który grzał jego ciało. Połączone wywołały eksplozję zmysłów. Dotykając się rękami, ustami, ciałami doprowadzali się na skraj szaleństwa. Teraz jej ciało wezbrało pamięcią o tych chwilach. Ben pieścił jej piersi delikatnie i powoli, przesuwając złoty łańcuszek.

— Jesteś taka piękna — szepnął. — **I** chciałbym spędzić z tobą cały dzień, ale — zawiesił głos dla większego efektu, a jego oczy zaczęły się śmiać — naprawdę teraz zjadłbym coś.

Przyjmując to jako propozycję, by przygotowała posiłek, Vichy nagle wyprostowała się, strącając Bena z łóżka na podłogę.

— I dlatego zrobisz śniadanie...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W ten sposób zaczęło się dla Vichy coś, co można nazwać „tygodniem poza czasem”

Rozpoczął się on śniadaniem składającym się z jajek na bekonie, tostów, soku, kawy i świątecznego prezentu, który przyjęła z prawdziwą radością. Pó śniadaniu otuleni w ciepłe kurtki, by nie przewiał ich grudniowy wiatr, spacerowali po pustej plaży. Ta przechadzka stała się porannym rytuałem, stanowiącym następstwo innego, o wiele cieplejszego rytuału.

— Chciałbym, abyś nie szła do pracy — westchnął Ben, pierwszego poranka, gdy leżeli obejmując się w łóżku.

— Ale ja muszę iść — Vichy pocałowała go delikatnie — podpisałam kontrakt — wzrokiem prosiła go o zrozumienie. — Nigdy nie zerwałam umowy. Ani z powodu choroby, ani z żadnego innego. Nie mogę teraz. Ben nie wiedział, że są to jej ostatnie występy i że ma zamiar zakończyć karierę piosenkarską.

— W porządku, przepraszam. — Masz rację — uśmiechnął się. — Byłem bliski namówienia cię, byś zrezygnowała. Pocałował ją i dodał — Będziemy mieli wystarczająco dużo czasu dla siebie.

Mieli dla siebie bardzo dużo czasu, śmiali się, kochali, i w godzinach wolnych od pracy zachowywali się tak, jakby byli sami na świecie.

W efekcie prawie cały czas spędzali w pokoju. Ben nie *i* zadawał jej żadnych pytań ani nie angażował się. I jak kwiat rozwijający się z każdym dniem pod wpływem słońca, w Vichy pod wpływem tej atmosfery rosła miłość.

Rozmawiali ze sobą, czasem częściej, czasem rzadziej na każdy temat, jaki przyszedł im do głowy. Zgadzała się ze sobą lub sprzeczała, w każdym razie nie padło ani jedno słowo o ich przyszłości, z wyjątkiem bieżących planów koncertowych Vichy.

Gdy zaczęła o tym myśleć, czuła ból, więc nie myślała. Uczepiona chwili obecnej, ukryła głęboko w świadomości wszystkie wątpliwości. Również te, które dotyczyły jej mocno już spóźniającego się okresu. W czasie występów jej cała powierzchowność i głos odbijały szczęście, które zagościło w jej wnętrzu za sprawą Bena.

Jakby na ironię losu, teraz, gdy podjęła decyzję o rozstaniu się ze sceną, jej nie ujawnione dotąd możliwości wokalne i interpretacyjne wywołały zachwyt wśród publiczności. Vichy przyjmowała to z dużym zadowoleniem, natomiast Ben, jak się jej wydawało, był zazdrosny o każdego mężczyznę na widowni, który wykazywał jakiegokolwiek zainteresowanie jej osobą.

Siadał przy tym samym stoliku co zawsze i patrzył spode łba na rosnący zachwyt towarzyszących Vichy, tych samych co ostatnio muzyków. We wtorek Vichy rozbawiona, ale też nieco podenerwowana tą sytuacją podeszła do jego stolika i powiedziała — Naprawdę nie masz powodu do zazdrości.

— Czy kiedykolwiek byłem zazdrosny? — skrzywił się Ben.

— Wystarczająco, by załamać moich muzyków — uśmiechnęła się. — Zwłaszcza Kena, obawiam się, że może niedługo skamienieć ze strachu za bębnami.

Bena naprawdę niepokoiło uznanie, jakie wzbudziła Vichy w zespole, ale udając, że nic go to nie obchodzi, pogłaskał jej policzek i powiedział — Sam się boję. Odwrócił się, by odejść, ale przystanął w pół kroku i ze swoim niesamowitym uśmiechem dorzucił — Możesz powiedzieć Kenowi, żeby się nie martwił.

We wtorek po skończonym występie Vichy wyruszyła na poszukiwanie Bena. Do tego momentu omijała z daleka kasyna, jakby ich podłogi były polami minowymi.

Poszukiwania postępowały wolno, jako że pomieszczenie wypełnione było tłumem ludzi tracących swoje ciężko zarobione pieniądze lub chwytających się nadziei na łatwe pomnożenie ich. Starając się opanować wstręt, Vichy przesuwiała się, szukając w tłumie obcych twarzy tej jedynej, ukochanej.

Gdy przechodziła wzdłuż rzędu maszyn do gry, usłyszała charakterystyczne brzęczenie i natychmiast po nim wybuch radosnego, kobiecego krzyku. Znak to nieomylny, że jedna z maszyn została „trafiona”. Obserwowała, jak dookoła tej kobiety zaczął gromadzić się tłum gapiów! Cicho doradziła jej, aby zgarnęła wygraną i uciekła, bo ktoś może ją w tym wyreczyć, i przeszła do następnej sali.

Bena zastała przy jednym z pokrytych zielonym suknem stołów. Jego widok spowodował, że wzruszenie ścisnęło ją za gardło, a puls przyspieszył. Stał w pozie raczej niewinnej, oparty o brzeg stołu. Wyglądał potwornie elegancko. Znakomicie skrojony, trzyczęściowy brązowy garnitur, kremowa koszula harmonizowały idealnie z ciemnymi włosami. Krawat był tego samego koloru, co jego wiśniowe oczy. Jak zahipnotyzowana Vichy podeszła do niego. Palce płonęły z pragnienia dotknięcia jego dłoni, ręce same podnosiły się do uścisku... Całym ciałem pragnęła bliskości jego ciała.

Naprawdę wierzę, że jestem w nim zakochana — pomyślała. Jednak to uczucie było czymś więcej niż miłością. Było zupełnym zatraceniem i to przerażało ją. Mogła przy nim zapomnieć o swoim ja. Nie rozmawiali o przyszłości i bała się, że kiedy odejdzie, zostanie sama, doszczętnie wypalona i zgruchotana. I to było najgorsze. Czy nie lepiej pozbierać to, co z niej jeszcze zostało i uciec, jak poradziła tamtej kobiecie przy maszynach do gry? Ale kochała Bena jeszcze bardziej niż hazardzista kolejną szansę odegrania się. Postanowiła zostać aż do ostatniego rozdania.

— Hej.

Ben nie patrząc odsunął ją delikatnie.

— Hej — powtórzyła.

— Och, to ty, przepraszam — jego skupione spojrzenie zatrzymało się na Vichy.

Nagle jego oczy zdradziły wyraźny objaw podniecenia i z piersi wydobył się ostry oddech. Nie przyglądał się już z uwagą zielonemu stolikowi. Wpatrywał się w Vichy. Nieznacznym gestem dał znak, że odchodzi od gry.

— Pragniesz mnie, teraz, tak? — szepnął, mimo że dookoła tłoczyli się ludzie.

— Tak — odpowiedziała Vichy, zapominając o wstydzie.

— I ja ciebie — przyznał. Odwrócił się, zgarnął ze stołu żetony i wsuwając je do kieszeni zakietu Vichy powiedział — Zamienię je później. Objął ją ramieniem i dodał — Chodźmy...

Później, leżąc w ciemności obok Bena, Vichy doszła do wniosku, że wspólnie z nim stworzony dom jest najpiękniejszym miejscem na ziemi. Kochając się z nim, zupełnie zatraciła się w gorącym strumieniu zmysłów zmywającym wszystkie lęki i obawy. Złączyła się z nim tak mocno, jak on złączył się z nią.

Jego doświadczenie było tak duże, że Vichy nie miała wątpliwości, że nie jest jego pierwszą kobietą. Ale ta świadomość wcale nie powodowała gorszego samopoczucia. Zastanawiała się tylko, ile ich było. I jak jeszcze wiele może być w przyszłości. Ta myśl nie pozwalała jej zasnąć. Nawet w najbardziej intensywnej chwili Ben szeptał słowa, jakie znajdują się w słowniku kochanków ale nigdy nie zobowiązywał się do niczego.

Czy poza tym, że była dla niego bardzo mocno atrakcyjną fizycznie, coś jeszcze go z nią łączyło? Ta myśli wyparła inne z jej głowy. Nigdy nie powiedział nic, co pozwoliłoby jej przypuszczać, że kocha ją tak bardzo jak ona jego.

— Nie bądź głupia — skarciła się. — Niczego od ciebie nie żąda, ty nie masz prawa niczego żądać od niego Nie myś o kanarku, gdy masz wróbla w garści.

Od rana starała się kontrolować swoje emocje. Nie mogła, decydując się na ten cudowny sen, żądać od Bena więcej niż jej dawał. To, że zakochała się, to już jej problem, nie jego.

Jej kontrakt opiewał na występy tylko do piątku i chociaż wcześniej zaplanowała, że w sobotę rano wróci do domu, zdecydowała się zostać z Benem na cały weekend Jedyne, co mogła zrobić, to być jak najbliżej niego i modlić się że przez ten czas Ben zdeklaruje się co do przyszłości W wieczór sylwestrowy w hotelu odbywało się wielkie przyjęcie. Chociaż Vichy co jakiś czas schodziła ze sceny i dołączała do rozbawionych gości, postanowili z Benem uczcie naprawdę Nowy Rok dopiero po powrocie do ich pokoju. Tam leżąc nago w łóżku, wstrząsnęli butelkę szampana i z hukiem wystrzelili korek. Vichy miała nadzieję, że w tym momencie Ben wyjaśni ich przyszłość ale gdy napełnił kieliszki, wzniosł toast za zdrowie, piękno i pasję, ale nie padło ani jedno słowo na temat tego, co będzie dalej.

Następnego dnia Vichy obudziła się chora i z bólem głowy. Przeklinając młotki, które waliły wewnątrz jej głowy, odwróciła się na bok ze zmrużonymi oczami. Widok, który zobaczyła, wydał się jej daleko nie pasujący do jej sytuacji. Ben umyty i ogolony, wyglądający świeżo w jeansach, w białym pulowerze podawał jej szklanekę z czerwonym płynem. Na jego twarzy bez śladu zmęczenia całonocną zabawą malował się delikatny uśmiech.

— Co to jest — zapytała Vichy, gdy podsunął jej szklanekę.

— Koktajl mojego pomysłu — wyjaśnił z tajemniczym uśmiechem. — Wypij, to zatrzyma młotki walące w twojej głowie.

Grymasząc wzięła jednak szklanekę i ostrożnie łyknęła. Co to jest? Nie było takie złe — zdecydowała po trzecim łyku i wypła do końca. Sok pomidorowy? Tabasco? Co jeszcze? Tego poranka jej umysł nie był tak wypoczęty i sprawny jak zwykle.

— Nie jesteś przyzwyczajona do picia — zagadnął Ben obserwując jej zmagania. — Wypiłaś tylko parę kieliszków szampana. Nie wyobrażam sobie, jak można tak wyglądać po jednej nocy. Chyba że piłaś z gośćmi?

— Nie — odparła — piłam tylko herbatę z lodem — przerwała, by językiem zwilżyć usta. — Nigdy nie piłam więcej niż kieliszek wina do obiadu.

— Powiedziałem, że to ci pomoże — stwierdził, siadając na brzegu łóżka i całując ją w błądy policzek.

— Ulżyło mi, przez ostatnie minuty zaczynałem się obawiać, że to nasze... wyczyny tak cię wykończyły — dodał.

— Jest pan złym człowiekiem, panie Larkin.

— Tak, wiem — Ben uśmiechnął się lekko. — Czy to nie śmieszne?

Zanim Vichy zdążyła odpowiedzieć, skoczył na równe

nogi. — Powiem ci dlaczego. — Będąc tak potwornym facetem, zrobię kawę, zanim weźmiesz przywracający cię do przytomności prysznic. Co na to powiesz? — Och, wspaniale!

Śmiech Bena odprowadził ją do łazienki.

Gdy wychodzili z hotelu, młotki prawie zaprzestały swojej pracy i Vichy poczuła się jak człowiek. Ben ciągle sobie z niej żartował.

Jego żartobliwe docinki ciągnęły się za nią w czasie pierwszego i drugiego występu. Vichy znosiła to spokojnie, ale w końcu nie wytrzymała i odcięła się — Spadaj.

Nawet niespecjalnie zaskoczony Ben odparł — Cokolwiek sobie życzysz, kochanie — i udał się w stronę kasyna.

Zastanawiając się, czy ta reakcja była spowodowana obojętnością, czy tolerancją w stosunku do niej, Vichy patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zmieszał się z tłumem.

Ben nie zaszczyił swoją obecnością jej ostatniego koncertu. Vichy, miotana pomiędzy chęcią nacieszenia się ostatnimi minutami kariery piosenkarskiej a pragnieniem jak najszybszego wyruszenia na poszukiwanie Bena, była cała podenerwowana. W końcu zaśpiewała ostatnie słowo ostatniej piosenki w ostatnim koncercie i podziękowała publiczności ze łzami w oczach.

Skończyło się — kariera, która na początku pełna była entuzjazmu i wspaniałych marzeń, zakończyła się nudno i bezbarwnie.

Potrzebowała teraz Bena bardziej niż kiedykolwiek. Jego obecności, rozwagi, a nawet jego głupich żartów.

Odrzuciła propozycję Kena, by napili się drinka. On wiedział, że był to ostatni koncert tego kontraktu, ona miała świadomość, że był to ostatni występ w jej życiu. Odmówiła jednak i udała się na poszukiwanie Bena.

Jak zwykle kasyno było wypełnione po brzegi, jakby cała ludność Wschodniego Wybrzeża uparła się, by tracić tam właśnie pieniądze. Na sali ciągle można było wyczuć

święteczną atmosferę. Vichy zaczęła torować sobie drogę wśród gości. W pewnym momencie potrącił ją młodszy o chyba osiem lat chłopak. Powiódł taksującym spojrzeniem po jej sylwetce i mruknął — Wybacz piękna. Przepraszam, za wszystko. Jesteś najcudowniejszym zjawiskiem, jakie widziałem w tym tygodniu. Ponieważ Vichy nie zareagowała na to, dodał już mniej pewnie — Może napilibyśmy się czegoś?

— Nie, dziękuję — odparła chłodno. — Jestem umówiona z przyjacielem.

— Cóż, w takim razie nie będę nalegał — odpowiedział i oddalił się na poszukiwanie, jak sądziła Vichy, bardziej chętnej do zawarcia znajomości kobiety.

Jednakże zainteresowanie, jakie wzbudziła w tym chłopaku, znacznie polepszyło jej nastrój. Nieco później ruszyła w stronę stołów do gry, jednak dostępu do nich zagroziła jej grupka młodych kobiet.

— Powinniście, dziewczęta, pójść ze mną do kasy — powiedziała jedna o błękitnych włosach.

Vichy stwierdziła, że nie jest w stanie przebić się przez nie, dopóki nie zakończą konwersacji, więc zaczęła przysłuchiwać się rozmowie.

— Co tak przerażającego jest w postawieniu dziesięciu dolarów — zdziwiła się właścicielka siwych włosów.

— To nie ja stawiałam — odparła Niebieskie Włosy.

— Więc kto — zapytała Brązowa Fryzura.

— Widzisz tego młodego mężczyznę przy okienku kasjera. Jest w towarzystwie młodej kobiety, obejmuje go...

Pięć głów odwróciło się w stronę wskazaną przez Niebieskie Włosy. Vichy wciągnęła ta rozmowa i sama była ciekawa, jak wygląda ten mężczyzna i obejmująca go młoda kobieta, ale żeby ich zobaczyć, musiałyby odwrócić się. Nie, poczekam, te kobiety na pewno opiszą go dokładnie...

— Co?!! Całować się publicznie!? — wyraziły dezaprobatę cztery głosy.
— Och, to nic — odezwała się Niebieskie Włosy. — Trzeba było widzieć ich parę minut wcześniej. Ta młoda kobieta wręcz przykleiła się do niego i całowała wszędzie gdzie tylko mogła.
— Dlaczego, wiesz?! — zapytała Brązowa Fryzura.
— Tak — odparła Niebieskie Włosy i uczyniła stosowną pauzę dla większego efektu. — Podejrzewam, że może to mieć związek z trzydziestoma pięcioma tysiącami dolarów, które wygrał ten mężczyzna.
— Trzydzieści pięć tysięcy dolarów?! — krzyknęły jednocześnie cztery głosy.
- T r z y d z i e s c i pięć tysięcy — powtórzyła bezgłośnie Vichy.
Ciekawość wzięła górę. Jak może wyglądać posiadacz trzydziestu pięciu tysięcy? I jak prezentuje się towarzysząca mu kobieta? Korzystając z tego, że blokujące ją kobiety odsunęły się nieco, Vichy odwróciła się. We wskazanym kierunku stała tylko jedna para. Blondynka zawieszona na ramieniu mężczyzny była bardzo atrakcyjna i sprawiała wrażenie, jakby byli ze sobą od dawna.
Mężczyzną był Ben.
Vichy poczuła, jak zatrzymuje się jej serce skamieniała, niezdolna do żadnego ruchu z wstrzymanym oddechem wpatrywała się w „szczęśliwą parę”. Pierwsze łzy napływające jej do oczu zamazały nieco obraz. Nagle zobaczyła wypełniającą się z nieostrości inną scenę.
Nadzy kobieta i mężczyzna leżący w jej łóżku, spleceni w miłosnym uścisku. Potrząsnęła głową, by przegnać ten obraz z wyobraźni.
I tak, jak sześć lat temu, zaczęła powoli, bezwiednie cofać się, głowa opadała raz na jedno, raz na drugie ramię, a usta cicho szeptały — Nie, nie, nie...

— Hej, proszę pani — odezwał się męski głos za jej plecami.
Vichy, nie zwracając zupełnie uwagi na otaczających ją ludzi, nadepnęła na nogę nieznanego mężczyzny.
— Proszę pani — zapytał zupełnie innym tonem, gdy zobaczył jej bladą twarz i nieprzytomne oczy.
— Czy pani się źle czuje?
— Co? — zapytała mrugając oczami, szczęśliwa, że wizja ostatecznie minęła. — Och, nie, czuję się dobrze...
— Ale według mnie, nie wygląda pani najlepiej.
— Nie, nie... czuję się dobrze — odparła — naprawdę dobrze. Jest tu trochę za gorąco, nie sądzi pan?
— improwizowała. Wyjdę i zaczerpnę świeżego powietrza, poczuję się lepiej...
— Jeżeli mogę w czymś pani pomóc...
— Nie, dziękuję — Vichy wyrwała się zdecydowanie. — Jeżeli puści mnie pan, będę mogła wyjść i odetchnąć.
— Och — powiedział i Vichy uświadomiła sobie, że zachowała się bardzo niegrzecznie. Wyglądało, jakby naprawdę chciał jej pomóc. — Niech pani uważa na siebie — dodał.
— Oczywiście — Vichy uwolniwszy się od niego wybiegła.
Skuliwszy się na siedzeniu taksówki była w stanie myśleć tylko o tym, co zobaczyła w kasynie. Miała ze sobą tylko płaszcz i torebkę, i nagle uświadomiła sobie, że musi wrócić do motelu po resztę rzeczy. Otarła łzy i podała zniecierpliwionemu nieco taksówkarzowi adres. Chciała jak najprędzej spakować walizki i uciekać, uciekać...
Trzymając już w jednej dłoni rączkę walizki, sięgnęła po drugą i nagle zwróciła uwagę na złotą bransoletkę,

okalającą jej nadgarstek. Gwałtownym ruchem zerwała ją, szarpnęła też ostatni prezent od Bena, złoty łańcuszek wiszący na szyi i rzuciła błyszczące kawałki na gładko zasłane łóżko.

— Idź do diabła Ben — szepnęła. — I weź ze sobą swoje prezenty! Chwyła walizki i wyszła z pokoju, zamykając drzwi.

W jakiś sposób dotarła do samochodu, uruchomiła go i wyjechała na drogę, chociaż łzy przez cały czas płynęły z jej z oczu. Gdy dotarła poza granice miasta, zjechała na pobocze i rozplakała się na dobre.

— Przeklęty, przeklęty, przeklęty — te słowa krążyły w kółko w jej głowie.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Wyrwał ją z tego stanu patrolujący autostradę policjant, który zapukał w szybę i zapytał, czy nie potrzebuje pomocy. Nie wiedziała o co chodzi, ale upewniła go, że wszystko jest w porządku i policjant odjechał.

— Nie mam czasu na płacz — powiedziała do siebie. — Muszę poczekać, aż znajdę się w domu. Poczekać do jutra. Ale teraz trzeba zabierać się stąd jak najprędzej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Vichy spędziła resztę nocy i większą część sobotniego poranka w motelu na przedmieściach Filadelfii. Zasnęła od razu, gdy tylko rzuciła się na łóżko wyczerpana rozdzierającymi ją emocjami. Nie rozbierając się rozrzuciła ramiona i leżąc na plecach oddychała głęboko.

Obudziła się wczesnie rano i zziębnięta zaczęła zastanawiać się, gdzie jest. Przez kilka błogosławionych chwil nie mogła sobie uprzytomnić, co zaszło. Potem wspomnienia rozpoczęły znowu bolesną gonitwę w jej głowie.

Westchnęła łagodnie i nieskoordynowanymi ruchami zaczęła się rozbierać. Ograniczyła się tylko do ściągnięcia góry i spodni, nie zajmując się bielizną. Zrzuciła wszystko na podłogę, wśliznęła się pod kołdrę i zasnęła.

Dźwięki dochodzące z sąsiedniego pokoju obudziły ją po paru godzinach. Odzyskała pełną świadomość, gdzie jest i dlaczego tu jest. Wyobraźnia podsunęła jej obruz Bena śmiejącego się do tamtej kobiety.

— Jej Ben — Vichy poczuła, że łzy znowu napływują jej do oczu. — Przestań! Natychmiast!

Faktycznie, jej

Ben... Jej i tamtej kobiety i chyba jeszcze połowy innych kobiet, Ben! Do diabła z hazardzistami! Nagle poczuła chęć działania. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Musi się ruszyć! Ubrała się błyskawicznie. Musi jechać do domu! Musi zacząć wymazywać go ze swojej pamięci!

Bak samochodu był w połowie wypełniony benzyną, gdy skręcała na drogę prowadzącą do domu jej rodziców. Jej wewnętrzny zbiornik energii był pusty. Nie jadła nic od wczorajszego lunchu. Jej nerwy znajdowały się w stanie wyczerpania, i było to widać. Jak bardzo, pokazała reakcja rodziny.

— Wyglądasz, jakby przejechała po tobie szesnasto-kołowa ciężarówka. Co Cię działo przez ten tydzień w Atlantic City? Czy to naprawdę tylko tydzień, od kiedy wyjechała z domu — zadała sobie pytanie — by zatopić się w ramionach swojego kochanka? Jej kochanka. Wstrząsnął nią dreszcz. Nerwy znajdowały się na skraju wytrzymałości i Vichy zdawała sobie sprawę, że jeśli zaraz nie pójdzie spać, może zemdleć.

— Bardzo mało spałam w ostatnich dniach — rzuciła pierwsze lepsze wyjaśnienie. — Więc jeśli nie macie nic przeciwko temu, zjem kolację i pójdę spać. Porozmawiamy jutro rano.

Jutro. To słowo uświadomiło Vichy upływ czasu. Zbyt wiele razy będzie „jutro” i każde puste, bez znaczenia. A najgorsze było to, że zdała sobie sprawę, że każdego dnia, rano, w południe i w nocy będzie kochała Bena Larkina. Chciała go znienawidzić. Rozpaczliwie próbowała odtworzyć sytuację, w której ostatni raz go widziała. Wyobraziła sobie Bena, jego uśmiech i tamtą kobietę opartą na jego ramieniu. Nic nie pomogło. Sprawilo jej tylko ból, ale nadal go kochała.

Na szczęście rodzice przyjęli za dobrą monetę wyjaśnienie o ciężkiej pracy, jaką miała w ostatnim tygodniu.

Ale nie była pewna, czy Bette też w to uwierzyła. Patrzyła na nią dziwnym wzrokiem...
Dwa tygodnie później, sposób, w jaki patrzyła Bette, był jednym z jej ostatnich problemów.
W ten sobotni poranek w połowie stycznia ziarno niepokoju zasadzone przed paroma tygodniami zakiełkowało powodując, że Vichy utraciła tę odrobinę spokoju, który udało się jej osiągnąć.
Otworzyła swój osobisty kalendarzyk i wertowała kartki, aż trafiła na datę zakreśloną czerwonym kółkiem. Dokładnie przeliczyła dni jeszcze raz i nie miała wątpliwości.

Była w ciąży.

Czując się jakby otrzymała cios w splot słoneczny, zwinęła się na brzegu łóżka. Głupia, głupia, głupia!
— powtarzała bezgłośnie. Ale przecież powiedziano jej, że prawdopodobnie nie będzie mogła mieć dzieci. Fakt, było to sześć lat temu, ale nic nie wskazywało na to, że przez ten czas coś się zmieniło.

Czy Ben był świadom, że jest w odmiennym stanie?

— Co mam teraz zrobić — załkała cicho. Musisz mieć dziecko. Dziecko Bena.

Dziecko Bena!

Poczuła delikatny skurcz żołądka. Miała mało pieniędzy i chociaż w ostatnim tygodniu zaczęła szukać pracy w okolicy, były małe szanse na to, że zostanie zatrudniona. Ale nagle przestało ją to obchodzić.

Będzie miała dziecko Bena!

W niedzielę Hartmanowie pojechali z wizytą. Ciotka Katie i wujek John nie zmienili się prawie od czasu, gdy Vichy widziała ich ostatni raz. Mark nie zmienił się zupełnie — był miły i uprzejmy, ale nudny jak stara płyta.

Zatopiona w swoich myślach Vichy zupełnie nic była świadoma, że Mark przez cały czas posyłał jej długie, rozmarzone spojrzenia. Jednak nie uszły one uwadze Bette. W drodze powrotnej przypuściła, śmiejąc się, atak na Vichy.

112

— W najgorszym wypadku zawsze możesz wyjść za Marka.

— Co to znaczy „w najgorszym wypadku”? — zapytała zdziwiona Vichy. Czy jej siostra domyśliła się, że jest w ciąży?

— To znaczy, jeżeli nie będziesz miała szczęścia i nie znajdziesz pracy. Biedny Mark, jest po prostu oczarowany tobą... — zaśmiała się.

— Nie bądź złośliwa — odparła Vichy.

— Nie jestem — zaprotestowała Bette. — Zawsze szalał za tobą i, to nie do wiary, zupełnie się nie zmienił przez te lata. Kiedy ostatni raz byliśmy u nich na święta, Mark przez cały czas zanudzał mnie pytaniami o ciebie.

— Naprawdę lubię Marka — powiedziała poważnie Vichy — ale...

— Tak, wiem, co chcesz powiedzieć.

W poniedziałek rano Vichy pojechała do kliniki w Lancasterze, by ostatecznie rozwiać swoje wątpliwości. Wyniki badań były pozytywne.

W sobotę rano Vichy stała pod prysznicem w swojej łazience, gdy cicho i bez pukania weszła Bette.

— Vichy, czy... — spojrzała na nią i nie dokończyła tego, co chciała powiedzieć — jesteś chora?

Vichy poczuła się jak schwyтана w pułapkę. — Bette, odejdz, proszę... Boli mnie brzuch — ledwo zdążyła wymówić ostatnie słowo, zwinęła się z bólu.

— To chyba coś więcej niż ból brzucha — zaniepokoiła się Bette — prawdopodobnie złapałaś jakiegoś wirusa. Pójdę powiedzieć mamie, żeby zadzwoniła po lekarza.

— Nie — zaprotestowała gwałtownie Vichy. — Nie musisz niepokoić mamy. Nie potrzebuję lekarza. Ale jej ciało znowu skrzyło się pod wpływem bólu.

— Pozwólmy zadecydować mamie — powiedziała Bette, odwracając się do drzwi.

— Bette, proszę, poczekaj...

— Ale jesteś chora, ja...
— Jestem w ciąży — z trudem wydusiła Vichy.
— Jesteś... — krzyknęła z niedowierzaniem Bette — czy mama wie?
Spazm minął. Vichy wyprostowała się i potrząsnęła głową. — Nie, sama przekonałam się o tym parę dni temu. Poczekaj w sypialni, wytrę tylko twarz i umyję zęby. Potem porozmawiamy — dodała.
— To niesamowite — powiedziała Bette, gdy Vichy wyszła z łazienki.
Jak to się stało? Machnęła ręką i wykrzywiła usta — przecież wiem, jak to się stało. Powinnam zapytać, kiedy i z kim. Czy to się stało w Kalifornii? Czy dlatego wróciłaś do domu?
— Nie, nie — odparła Vichy siadając na łóżku — to było w Atlantic City w czasie moich występów w listopadzie. Spotkałam tego mężczyznę...
— ... I wskoczyłaś z nim od razu do łóżka!
— Bette, proszę, nie mów tak. Nie wskoczyłam z nim od razu do łóżka. — Tak, ale jak inaczej nazwać to, co zrobiła? — oskarżyła się w myślach.
— On... ja... och, Bette, co to za różnica?
— A co on na to?
— Nic nie wie — mruknęła Vichy. — **I** nie chce wiedzieć — dodała pewniej.
— Nie chce wiedzieć?! — zdziwiła się Bette. — Dlaczego? Jest ojcem! Ma prawo nie tylko ponosić odpowiedzialność, ale też wiedzieć.
Przed oczami Vichy stanął nagle uśmiechnięty Ben i tamta całująca go kobieta.
— Nie ma żadnych praw — ucięła. — **I** ja poniosę odpowiedzialność.
— Chyba nie myślisz, że będziesz to robić sama?
— Dlaczego nie? — odparła Vichy. — Dużo kobiet tak robi. To nie jest coś, czego należałoby się wstydzić.

— Nie tutaj — stwierdziła — nie w tej rodzinie. Tak, Vichy teraz dopiero zdała sobie z tego sprawę. W jakimś sensie była w swojej rodzinie pionierem. Pierwsza zaczęła pracować w branży rozrywkowej. Pierwsza rozwiodła się. Teraz Bette uświadomiła jej, że znowu będzie „pierwsza” i nie da się tego ukryć. Spojrzała z lękiem na siostrę.

— Mam zamiar to zrobić, Bette. Będą się musieli z tym pogodzić. Wiem, że na początku będą zaszokowani, ale...

— Może nie aż tak bardzo. Wyobrażam sobie reakcję Josha i Mattie! Kiedy masz zamiar o tym powiedzieć?

— Wkrótce...

Bette podeszła do drzwi. — Chciałabym móc coś dla ciebie zrobić...

— Dziękuję ci. Ale nie potrzeba — odparła Vichy zamykając za nią drzwi. Tak, musiała jak najwcześniej powiedzieć o tym rodzicom, w przeciwnym razie matka mogła w każdej chwili domyślić się tego, tak iak zrobiła to Bette.

Dzień minął, a ona ciągle się wahała.

Gdy w niedzielę rodzice pojechali do kościoła, Vichy przygotowując posiłek zdecydowała, że powie im gdy tylko skończą jeść obiad. Napięcie rosło z minuty na minutę, tak że pojawienie się w drzwiach Marka Hartmana Vichy przyjęła z ulgą, jak odroczenie egzekucji zwłaszcza że wszyscy kończyli już jeść deser.

Po krótkiej wymianie zdań z rodzicami Mark, zawsze taki sam, zaproponował Vichy partię szachów, tak jak w czasach, w których byli nastolatkami.

Rozgrywali właśnie czwartą, pasjonującą partię, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

— Otworzę — powiedziała Vichy, uprzedzając ojca, który odłożył już gazetę. Przeszła do korytarza i otworzyła drzwi. W tym momencie zeszywniała i kurczowo zacisnęła w dłoni klamkę.

— Cześć, Vichy.

W drzwiach stał przygarbiony i przewiany przez styczniową zadymkę Ben.

— Jeśli zatrzaśniesz drzwi, wyważę je kopniakiem — ostrzegł łagodnie, trafnie wyczuwając jej intencje.

Vichy zacisnęła usta. — Czego chcesz?

Cyniczny uśmiech pojawił się na jego ustach i Vichy zadrżała. Wyglądał na zmęczonego, ale na tyle szalonego, by gryźć gwoździe.

— Chcę wyjaśnień — powiedział. — Dokładnie kilku wyjaśnień.

— Nie mogę teraz rozmawiać — zacięła się Vichy — mamy gości...

— Vichy, zaproś tego, kto tam jest i zamknij drzwi — zawołał z głębi domu ojciec. — Nie jest tu za gorąco, by wietrzyć.

Jak mogła znaleźć się z nim w jednym pokoju? Bolał ją już sam jego widok. W jaki sposób mogłaby przedstawić go rodzinie? Była z nim w ciąży, na miłość boską! Nie, nie mogła tego zrobić. Podniosła rękę, by zamknąć mu drzwi przed nosem. Ben postąpił krok naprzód, uniemożliwiając jej wykonanie tego, co zamierzyła.

— Czy wiesz, co robisz? — szepnęła, gdy ją mijał.

— Tak — odparł. — A ty?

Nie było czasu na odpowiedź, bo w tym momencie w korytarzu pojawiła się Bette. Z jej twarzy można było odczytać zdziwienie.

— Cześć, jestem Bette — uśmiechnęła się.

Ben odwrócił się w jej stronę i natychmiast na jego twarzy zagościł sympatyczny uśmiech.

— Cześć, jestem Ben Larkin.

— Więc zdejmij płaszcz i wejdź do środka — powiedziała Bette.

Aż do tego momentu Vichy nie zwróciła uwagi, że Ben

ma na sobie płaszcz. Przecież jest styczeń — pomyślała. — Jak mógłby być bez płaszcza? Usiłując opanować zbliżającą się histerię, Vichy zaprowadziła go do salonu i dokonała prezentacji. Najmniejsza część ciała odczuwała jego obecność. Każdy zmysł był wyczulony na jego ruchy, gdy bardziej pokazała, niż przedstawiła Marka.

Ben z całym wdziękiem przyjął od matki filiżankę gorącej kawy i posłał Bette ujmujący uśmiech, gdy zaproponowała mu odrobinę ciasta. Po pięciu minutach wszyscy wsłuchiwali się w to, co mówił. Roztrzęsiona Vichy nie mogła skupić się na tyle, by słuchać jego opowiadania, docierało do niej tylko słowo „Kalifornia”. Spróbowała zebrać się do kupy i skoncentrować całą uwagę.

— ... Samolot wylądował w Filadelfii kilka godzin temu — mówił Ben. Pomyślałem, że skoro jestem tak blisko, to wpadnę odwiedzić Vichy. Wymawiał to imię tak, jak wymawia się imię starej, dobrej znajomej. Wszyscy obecni w pokoju, z wyjątkiem Vichy, mogli odmesc wrazenie, że jest odprężony i swobodny. Za każdym razem, gdy wymieniał jej imię, zalewała ją fala gniewu.

— Nie, nie poznaliśmy się w Kalifornii — odpowiedział matce. — Spotkaliśmy się w Atlantic City w czasie jej występów.

O co zapytał ojciec? Chyba o to, czy czeka go jeszcze dzisiaj wieczorem daleka droga.

— Zapowiadali w prognozie pogody, że wczesnym wieczorem będzie padał śnieg — ostrzegł Bena.

Tak, wiem — powiedział Ben. — Dlatego nie zamierzam nigdzie się dzisiaj ruszać — uśmiechnął się.

— Tylko do pokoju, który zarezerwowałem na noc. Miał na myśli motel przy drodze, nie dalej niż dwa kilometry od domu Vichy.

Vichy była zupełnie załamana. Miała nadzieję, że Mark pojedzie do domu, zanim Ben opuści ich progi. Teraz, niestety, będzie musiało dojść do konfrontacji.

Mark siedział tak, jak go zostawiła przy nie rozegranej partii szachów. To nie do wiary, ale zupełnie zapomniała o jego istnieniu.

— Chyba lepiej będę się zbierał — powiedział i dodał, widząc jej spojrzenie. — Nie lubię jeździć, gdy pada śnieg.

Ignorując sarkastyczny wyraz twarzy Bena, Vichy wstała i odprowadziła go do drzwi. Gdy w pustym korytarzu wkładał kurtkę, udowodnił, że jednak jest nudziarzem w każdym calu.

— Czy on coś dla ciebie znaczy? — zapytał mając świadomość, że od chwili pojawienia się Bena uwaga całej rodziny skupiła się wyłącznie na nim. Nie chcąc go okłamywać, Vichy skinęła potakująco głową.

— No, cóż — w jego oczach odbijała się umierająca nadzieja. — Czy mogę coś zrobić...

Nagle okazało się, że stary, nudny Mark był jedynym, który wyczuł napięcie pomiędzy Vichy a Benem. Wdzięczna za te słowa, Vichy potaknęła.

— Jesteś dobrym przyjacielem, Mark, ale...

— Taak. — Mark dotknął klamki. — Jeżeli będziesz mnie kiedykolwiek potrzebowała, zadzwoń.

— Dziękuję ci, zadzwonię — odpowiedziała, chociaż zdawała sobie sprawę, że nigdy tego nie zrobi.

Gdy zamknęła drzwi za Markiem i wracała do pokoju, wpadła na Bena.

— Nie, dziękuję, jadłem już lunch — mówił do matki, która zapraszała go do stołu. — Też zaraz będę jechał _ podszedł do Vichy i położył jej rękę na ramieniu _ Nie mogę trafić sam do wyjścia — zapytał i dodał cicho — Lepiej odpowiedz, gdy zadzwonię do ciebie.

W czasie kolacji odpowiadała rodzicom na pytania dotyczące Bena. Nie mogła liczyć na pomoc Bettc, bo

wyszła do swojej przyjaciółki. Zaczęła się już obawiać ze pytania rodziców staną się bardziej konkretne gdy z opresji wybawił ją dzwonek telefonu.

Odsuwając talerz zaoferowała — Ja odbiorę, i poszła do korytarza, gdzie na małym stoliku stał aparat telefoniczny.

— Przyjedź tutaj — powiedział, gdy tylko usłyszał jej „halo”. — Zaraz. Dlaczego przypuszczała, że zadzwoni dopiero jutro — zadawała sobie pytanie. Czy kiedykolwiek zrobił coś, czego mogła się spodziewać? Nie dał jej nawet czasu na odpowiedź. — Zaraz — dodał i odłożył słuchawkę, nie podając nawet numeru swojego pokoju

Nie pójdę — pomyślała Vichy. — Nie będzie mnie wodził za nos jak dziecko. Nie chcę iść. Co może zrobić? Wrocic tutaj i wywołać piekło? Jasna i czysta odpowiedź pojawiła się w jej głowie.

Wjechała na parking przed motelem, na którym stały tylko cztery samochody i zatrzymała wóz obok znajomego Grand Prix Bena. Musiał czekać na nią, bo drzwi uchyliły się w momencie, w którym podniosła rękę by w nie zastukać.

Vichy weszła do jasno oświetlonego pokoju.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

— Jesteś w ciąży?

Pytanie zadane szorstkim głosem uderzyło ją z siłą młota parowego. Trzaśnięcie drzwiami dopełniło obrazu wściekłości Bena. Pod wpływem jego ataku Vichy zaniemówiła i znieruchomiała. Bette! To musiała być Bette! Zanim zdążyła zauważyć, Ben podszedł do niej i mocno objął ją w pasie. W oczach błyszczały niebezpieczne, czerwone iskry.

— Odpowiedz mi, do diabła! — rozkazał przez zaciśnięte zęby.

— Tak — przyznała się Vichy. — Tak, jestem w ciąży... i co z tego?

Do głosu doszła wściekłość Bena.

— Co z tego? — powtórzył. — Co z tego!?? — usta wykrzywił mu grymas. — Kiedy miałaś zamiar powiedzieć mi o tym?

— Skąd ta pewność, że to twoje dziecko? — odparła chłodno. Spojrzała na twarz Bena i jej wyraz zmroził w niej krew.

— Chcesz ze mnie zrobić idiotę?! — Wiesz dobrze, że to moje dziecko! Kto inny mógłby być ojcem?

— Mark Hartman — powiedziała i natychmiast pożałowała, że wymieniła to imię. Nie chciała mieszać Marka do tych spraw.

— Czy naprawdę chcesz ze mnie zrobić idiotę?' — wycodził przez zęby. — Nie jestem w nastroju do żartów! — wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie. — Pobierzmy się tak szybko, jak to jest możliwe.

— Nie. Nie pobierzemy się.

— Co chcesz przez to powiedzieć — Ben był bliski wybuchu.

— Dokładnie to, co powiedziałam — odparła Vichy z naciskiem. — Nie wyjdę za ciebie, Ben.

— Byłem wystarczająco dobry, by pójść ze mną do łózka, ale nie na tyle, by wyjść za mnie. — Ben prawie krzyczał.

Jej reakcja, tak bardzo kobieca, mogła wydać się zabawna — Vichy roześmiała się. Naprawdę zbierało się jej na płacz.

— Tak jest — wydusiła przez ściśnięte gardło — Jeżeli to już wszystko, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać to pozwolisz, że pójdę. Odwróciła się tylko po to' by zostać przyciągnięta przez silne ramiona Bena. Wyglądał na jeszcze bardziej wściekłego niż przedtem — Nigdzie nie pójdziesz! Przynajmniej zanim nie uregulujemy tej sprawy.

— Nie ma o czym mówić! — krzyknęła Vichy próbując wyzwolić się z jego objęć. — Nie wyjdę za ciebie'

Zacisnęła palce jednak nie na tyle mocno, by poczuła boi przez gruby materiał płaszcza.

— A co z dzieckiem?

— Jest moje! Ja będę się nim opiekowała. — Vichy jeszcze raz spróbowała uwolnić się szarpnięciem.

— Nic od ciebie nie chcę!

— Jednak coś ode mnie wzięłaś — zauważył. — Dziecko jest tak samo twoje, jak i moje. Chcę go.

Vichy zastanowiła się nad jego słowami. — Co to znaczy, że chcesz go?

— Dokładnie to, co powiedziałem — jego uśmiech wzbudził w niej przerażenie. — Jeśli nie chcesz podzielić się nim poprzez małżeństwo, zabiorę je tobie.

— Nie możesz tego zrobić — krzyknęła Vichy.

— Chcesz się przekonać — odparł błyskawicznie.

— Nie, nie chcę, po prostu dlatego, że przegrasz.

— Nie, Vichy, nie przegram — odparł stanowczym tonem.

— Ale... nie możesz... — powiedziała zmieszana. — Jak mógłbyś? Chyba nie będziesz próbował go uprowadzić...

— Nie bądź dziecinna — uśmiechnął się — pozbawię cię tylko opieki rodzicielskiej.

Chce jej zabrać dziecko! Jej dziecko! Przewyciężając ciężar przygniatający jej piersi powiedziała — Jestem lub będę matką! Żaden sąd nie pozbawi mnie opieki, jeśli się nie zgodzę. A nie zgodzę się!

— I przegrasz — dodał Ben, zbliżając się tak bardzo, że aż poczuła strach. I zanim zdążyła poszukać w myślach odpowiedzi, zaatakował. — Masz jakieś pieniądze? Masz pracę? Masz chociaż perspektywy na pracę? Czy jesteś w stanie zapewnić dziecku odpowiednie warunki?

— Ja... ja... — nie umiała odpowiedzieć.

— Odpowiedź na każde z tych pytań brzmi „nie” i dobrze o tym wiesz — przerwał jej. — I każde z tych pytań może być postawione przed sądem. Z drugiej strony, ja na te, i nie tylko, pytania mogę szczerze odpowiedzieć „tak” — uśmiechnął się z politowaniem. — Komu, jak myślisz, sąd przyzna rację?

— Mam rodziców — broniła się Vichy. — Oni mi pomogą...

— Boże! Chcesz ich obarczać taką odpowiedzialnością? W ich wieku? — w głosie Bena czuć było nutę sarkazmu.

Vichy poczuła, że nie ma szans.

— Ben, proszę, nie rób mi tego — powiedziała błagalnie. Powróciło to, o czym starała się zapomnieć. Wiedziała i nie miała co do tego żadnych wątpliwości, że jeśli powie za dużo, może przegrać.

— Jak bardzo pragniesz tego dziecka? — tym razem poczuła jego bolesny uścisk na ramieniu. Uczucie miało wymiar zarówno fizyczny, jak i psychiczny.

— Bardzo — szepnęła i zachwiała się, gdy Ben nagle uwolnił ją. — Bardzo — powtórzyła.

— Na tyle, by wyjść za mnie? — odstepił o krok i wpatrywał się w nią czekając na reakcję. — I pójść ze mną do łóżka? — zapytał bardzo łagodnie. Jego obecność spowodowała, że ciałem Vichy wstrząsnął dreszcz.

— Ben, mówiłam ci... — zaczęła znowu.

— Nie ma innego sposobu, byś mogła je zatrzymać — przerwał jej brutalnie. — Może trudno ci w to uwierzyć, ale pragnę tego dziecka tak samo mocno jak ty.

— Ale dlaczego? — krzyknęła w desperacji. — Przecież masz już syna!

— Chyba lepiej będzie, gdy zdejmiesz płaszcz i usiądziesz. — Ben odwrócił się i wskazał ręką dwa krzesła stojące na środku pokoju. — Wygląda na to, że powinnaś jeszcze przez chwilę tu zostać. Chociaż Vichy zdjęła drżącymi rękami płaszcz, nie zdecydowała się usiąść. Nie mogła, była zbyt napięta i nerwowa. Stojąc przed nim trzymała ręce w pogotowiu. Spróbowała zmienić jego postanowienie, przypominając mu syna.

— Ben, masz przecież syna — powiedziała starając się kontrolować. — Pozwól mi mieć moje dziecko.

— Tylko dla ciebie? — zapytał nad wyraz spokojnie. — Nie mam już żadnych praw? Żadnego wpływu na jego rozwój i wychowanie? Żadnego prawa do odwiedzin? Żadnych zobowiązań materialnych?

Przez jedną chwilę Vichy wydawało się, że argument o zobowiązaniach materialnych może rozegrać na swoją korzyść, ale intuicja podpowiedziała jej, że to był tylko chwilowy pomysł i żeby lepiej trzymała się tego, co postanowiła.

— Masz syna — upierała się wściekle.

Przez dłuższą chwilę Ben nic nie mówił. Vichy obserwowała, jak na jego twarzy pojawił się i skamieniał wyraz zawziętości.

— Tak, mam syna — odpowiedział powoli. — Ale nie jestem jego ojcem w pełnym tego słowa znaczeniu — przerwał, jakby mając wątpliwości, czy mówić dalej. W końcu wyraził to jasno i dobitnie. Nie jestem jego naturalnym ojcem.

Vichy patrzyła na niego ze zmieszaniem i niedowierzaniem. Zaśmiała się nerwowo. — To absurdalne! Powiedziałeś, że opiekujesz się nim od czasu rozvodu. Jeśli to nie jest twój syn, to dlaczego...

— Nie wiem — jego głos załamał się. — Moja żona powiedziała mi zaraz po wyjściu z sądu — uśmiechnął się do siebie — że nie chce mieć związanego życia, pozwoliła mi uwierzyć, że to moje dziecko, bym się nim opiekował i wychowywał je.

Vichy otworzyła usta ze zdziwienia. Ale Ben uprzedził jej pytanie, jakby czytając w myślach.

— Zrobiłem badanie krwi i okazało się, że to nie może być mój syn. — Jego oczy zwięzły się — Będę miał swoje dziecko. Tak czy inaczej.

Vichy poczuła się jak w pułapce. Jak złapana w pułapkę pokoju hotelowego z absolutnie nieugiętym mężczyzną. Zaczęła chodzić od ściany do ściany. Raz, drugi, trzeci... Próbowwała znaleźć jakieś wyjście. Ma trochę pieniędzy, może zniknąć... — pomyślała irracjonalnie. Josh... Josh może pożyczyć jej pieniądze! Wiedziała o tym!

— Czy dasz mi trochę czasu — zapytała, zatrzymując się przed nim.
— Byś mogła znowu uciec — odparł Ben. — Miałem dość kłopotów, by cię odnaleźć. Nie chciałbym tego przerabiać jeszcze raz. Nie jestem typem Sherlocka Holmesa.
— Wcale tak nie sędzę — odcięła się. — Jesteś raczej typem hazardzisty.
— Co to ma znaczyć? — podszedł do niej od tyłu.
— Nic takiego — odpowiedziała, myśląc o czymś zupełnie innym. — Jak mnie odnalazłeś? — wyartykułowała swoje myśli.
— Bardzo prosto. Najpierw pojechałem pod adres, który mi podałaś... — przerwał i-uśmiechnął się.
— Ta'm powiedziano mi, że wyjechałaś i nie powiedziałaś dokąd. To było dwa tygodnie temu. Wsadził ręce do kieszeni jeansów, tak jakby musiał coś z nimi zrobić, by nie udusić Vichy. Odstąpiła o krok, jej ruch wywołał na jego ustach parodię uśmiechu. — W ostatnim tygodniu wróciłem do Atlantic City i trafiłem do hotelowego managera — mówił wolno, bardzo wolno — ale nie uzyskałem żadnych informacji o tobie — uśmiechnął się z sarkazmem. — Wtedy wpadłem na pomysł, by porozmawiać z Kenem. Nie wiedziałem nawet, dlaczego cię szukam.
— Ale Ken nie znał adresu moich rodziców — przerwała Vichy.
— Za to podał mi nazwisko twojego agenta.
— Berniego?!
— Tak, Berniego. Wróciłem wczoraj z Kalifornii. Z początku nie chciał nic powiedzieć, ale gdy powiedziałem mu, że jesteśmy zakochani i posprzeczailiśmy się odrobinę, otworzył się. Opowiedział mi o tym, jak zdecydowałaś się porzucić występy i wrócić na stałe do domu. I jestem tutaj, do usług...
— Nie masz prawa... — zaczęła Vichy.

— Sądzę, że mam prawo — powiedział z naciskiem. — Czas, który spędziliśmy razem i to, że wyjechałaś nagle i bez żadnych wyjaśnień, jak myślę, daje mi to prawo.

Vichy stała nieruchomo. To było bardzo blisko, o wiele za blisko — wspomnienie śmiejącego się Bena i tej kobiety opierającej się na jego ramieniu.

Potrząsnęła głową, by przegnać ten obraz i patrząc mu prosto w oczy skłamała. — Uznałam, że już pora wrócić do domu. Przygoda się skończyła...

— Przygoda? — ton Bena zmroził ją. — Przygoda?! Cóż, kochanie, obawiam się, że ta „przygoda” będzie miała dalszy ciąg... Jeśli będziesz chciała mieć przy sobie dziecko.

Wszystko przemawiało za tym, że Ben pozostanie nieczuły na jakiegokolwiek argumenty, jednak Vichy spróbowała. — Ben, proszę, nie upieraj się przy tym. Czy zdajesz sobie sprawę, jaki będzie to miało wpływ na dziecko? Jak będzie się czuło w domu, w którym ciągle będą kłótnie. To nie jest w porządku skazywać je na coś takiego.

— Czy jesteś pewna, że będziemy się kłócić? Nie przypominam sobie, abyśmy robili to w pokoju hotelowym.

Nie robiliśmy tego, dopóki głupio wierzyłam, że jestem twoją jedyną kobietą — pomyślała Vichy. Jak mogłabym żyć i spać z tobą, bojąc się co przyniesie następny dzień lub noc? Głośno zaś powiedziała — Nie chcę wyjść za mąż. Przeszłam już przez to. Nie chcę więcej takich scen.

— Do diabła z tym, Vichy! — nie wytrzymał Ben. — Nie dam ci czasu, możemy to wspólnie przezwyciężyć. Możemy! — westchnął i w tej sekundzie Vichy zauważyła przebłysk smutku na jego twarzy. Lecz natychmiast ustąpił on miejsca poprzedniej zawziętości. — Musimy być razem, nie ma innego sposobu. Ty chcesz dziecka, ja chcę dziecka, więc zalegalizujemy nasz związek.

Vichy ciągle nie była przekonana. Przez ostatnią godzinę walczyła, wrywała się i nawet krzyczała, by nie zgodzić się na to. Ben pozostawał niewzruszony. Nie miał zamiaru zrezygnować. W końcu poddała się, wiedząc, że i tak, prędzej czy później, będzie musiała to zrobić.

— W porządku, w porządku! — krzyknęła, gdy ostatecznie przekonała się, że Ben nie żartuje. — Wyjdę za ciebie, ale nie miej do mnie pretensji, gdy trafimy do sali rozpraw rozwodowych! To brzmiało dziecinnie, wiedziała o tym, ale nie mogła już dłużej wytrzymać. Nigdy nie spotkała tak upartego człowieka.

— W czarujący sposób przyjąłeś moje oświadczenia. Jeśli wylądujemy w sądzie, to nie dlatego, że nie próbowałem... — odwrócił się, jakby już nie mógł znieść jej widoku. — Jutro zaczniemy działać — odwrócił się i zakomunikował tonem śmiertelnie poważnym. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. — Pobierzemy się tak szybko, jak to jest możliwe.

— Jutro? — zdziwiła się Vichy. — Ale... myślałam, że chcesz pojechać do domu i przygotować swojego syna...

— Mój syn zaakceptuje nasz związek, niezależnie od tego, kiedy mu o tym powiem — odpowiedział arogancko. — Zresztą pojedziesz tam ze mną! Przykro mi, że ci nie ufam, ale nie mogę — jego ton przybrał barwę żelaznej determinacji. — Zostanę tutaj w tym pokoju, dopóki się nie pobierzemy.

— Nie mam zamiaru uciekać, Ben — pisnęła Vichy. — Wiem, że zostałam pokonana.

— Oczywiście — przyznał jej rację. — Jednakże zostanę tu. Sądzę, że zrobimy to w sobotę. Teraz połóż płaszcz i niech się zacznie...

— Co możemy zrobić dziś wieczorem? — zapytała z lękiem Vichy. Działał, jak na jej gust, za szybko i to ją przerażało.

— Powiemy twoim rodzicom — odparł Ben, zakładając marynarkę.

— Ja sama im powiem — Vichy była bliska paniki. — Nie musisz jechać ze mną.

— Wiem, że nie muszę, ale pojedę. Pomogę ci to zrobić... Vichy wracała do domu z duszą na ramieniu. W ślad

za nią jechał swoim Grand Prix Ben.

Zastali rodziców i Bette w kuchni pijących czekoladę przed udaniem się **na** spoczynek. Vichy zarumieniała się i spoglądając **na** Bena szukała właściwych słów.

— Mamo, tato, **ja...**

— Vichy jest w ciąży — wyręczył ją Ben — i zamierzamy się pobrać.

Jak seria z karabinu maszynowego, to proste oświadczenie trafiło jej rodziców, jednak nie dali nic po sobie poznać.

— To zdarza się w najlepszych rodzinach — powiedział ojciec, wstając po trwającej dłuższą chwilę ciszy i wyciągając rękę w stronę Bena.

— Przepraszam, że mówię tak bezpośrednio — rzekł, przyjmując rękę — ale sądzę, że jest to najlepszy sposób powiedzenia tego, co chciałem zakomunikować.

Nagle Vichy poczuła, że ojciec nie tylko zgadza się z nim, ale również ma podobny pogląd.

— Wiem, co chciał pan powiedzieć — odparł. — Więc kiedy zamierzacie to uczynić?

— W sobotę.

— Tak będzie najlepiej.

W czasie tej rozmowy Vichy, Bette i matka stały nie starając się nawet ukryć zmieszania.

— Cóż, Johanno czy chcesz coś powiedzieć? — zapytał ojciec.

— Co tu mówić. Sądzę, że powiedzieliście już wszystko — wzięła głęboki oddech, z czego można było wnioskować, że jednak nie wszystko zostało wyjaśnione. — Wyobrażałam sobie nieco inny, bardziej tradycyjny

ślub Vichy, ale jak sam powiedziałaś, to zdarza się w najlepszych rodzinach — zerknęła na Vichy i Bena. — Jakie macie plany?

— Naprawdę żadnych...

— Poza tym, że chcemy się jak najszybciej pobrać — przerwał jej Ben. — Zostawiłem w domu mojego syna i chciałbym wrócić do niego na początku przyszłego tygodnia — wyjaśnił z ujmującym uśmiechem. — Wiem, że pokocha Vichy tak samo, jak ja ją kocham.

Vichy przełknęła ślinę. Jak może tu stać i tak okłamywać jej rodziców?! Gdy kilka tygodni temu adorował inną kobietę? Przewyciężając chęć oskarżenia go o bezwstydną kłamstwo, powiedziała — Też wiem, że go pokocham. Naprawdę tak sędzę — dodała w myślach. — Spróbuję być dla niego jak najlepszą macochą.

Ben został ponad godzinę. Matka przygotowała więcej gorącej czekolady i usiedli w kuchni rozmawiając o tym, co mają zamiar robić po ślubie. Chociaż Ben zastrzegał się, że nie chce żadnych uroczystości, dał się jednak przekonać na małe przyjęcie. Potem Vichy poszła do sypialni. Była tak wyczerpana, że od razu zasnęła. Śniło się jej, że na własnym ślubie stoi z boku, podczas gdy w kościele piękna kobieta, śmiejąc się, całuje Bena. Zeszła rano na śniadanie blada ze zmęczenia. W kuchni krzątała się tylko matka, ojciec był w stodole, a Bette pojechała do szkoły.

— Lepiej coś zjedz — zatroszczyła się matka. — Ben będzie tutaj za niecałą godzinę...

Jak to się stało — zastanawiała się Vichy — że matka mówiła z taką łatwością o Benie. Oczywiście, był czarujący wobec rodziców i Bette, ale Vichy zawsze sądziła, że nie oceniają oni ludzi na podstawie krótkiej znajomości. Nie mogą przecież znać go, tak jak ona — uświadomiła sobie — ani mieć pojęcia o tym, co zrobił tamtej nocy.

— Przed chwilą dzwoniłam do Mattie i Josha. Będą tu w sobotę rano.

— I co powiedzieli? — zapytała Vichy, czując jak jedzenie staje jej w gardle. — Czy powiedziałaś im, że jestem w ciąży?

— Oczywiście — odparła matka. — Co powiedzieli? Sądzę, że Josh był bardziej zaskoczony niż Mattie — potrząsnęła głową. — Jestem przekonana, że uważał, że to się tobie nie przytrafi.

Vichy przetarła załzawione ze wzruszenia oczy. Boże, musiała przyznać rację Joshemu, sama przecież tak się tego wystrzeżała...

— Nie mam pretensji do Josha — odezwała się mat'ka. — Trzeba mu dać trochę czasu na przemyślenie tych

spraw. Jesteśmy ludźmi... Być w ciąży z mężczyzną, którego się kocha, to nic złego — objęła Vichy ramieniem i dała jej lekkiego kuksańca. — Teraz zjedz coś. Czeka was z Benem sporo roboty...

Vichy przekonała się, że jeżeli Ben zabiera się już do czegoś, nie daje się zwariować.

Pojechali po wszystkie potrzebne do ślubu dokumenty do Readink, i przy okazji poddali się badaniom krwi.

We wtorek złożyli wizytę u lekarza rodziny — doktora Rightmeyera. Ten przyjął wiadomość o ciąży z dużą radością i dokładnie przebadał Vichy.

— Czy może jej pan coś zapisać na te poranne bóle — zapytał Ben.

— Skąd wiesz, że rano boli mnie brzuch i czasami wymiotuję — zdziwiła się Vichy, gdy wyszli z gabinetu i udali się w stronę apteki, by zrealizować receptę.

— Bette mi o tym powiedziała.

Sobotni poranek wstał mroźny i jasny. Jediną rzeczą, której pragnęła, było schować się pod kołdrę i nie wyściubić nosa przez cały dzień. Kochała Bena. Chyba nawet bardziej teraz niż kiedyś. Ale ciągle wracała do

niej natrętna myśl, że prawdopodobnie będzie musiała dzielić się nim z innymi kobietami. Przybycie Mattie z rodziną spowodowało, że Vichy z westchnieniem opuściła swoją kryjówkę. Pół godziny po Mattie przyjechał Josh i cały dom wypełnił się mówiącymi jednocześnie głosami. Wszyscy byli podekscytowani tym, że Vichy spodziewa się dziecka, że tak szybko wychodzi za mąż. Ale w tym całym zamieszaniu potrafili stworzyć dla niej enklawę spokoju. Po południu trzema samochodami pojechali do okręgowego urzędu stanu cywilnego. Ben już tam czekał. Vichy szybko dokonała prezentacji i weszli do środka. Po piętnastu minutach już było po wszystkim. Złota obrączka na jej palcu świadczyła wszem i wobec, że jest żoną Bena. Natychmiast po powrocie do domu rozpoczęło się przyjęcie weselne. Vichy starając się unikać bliskiego kontaktu z Benem, zaczęła pomagać matce przy podawaniu jedzenia i ojcu w przygotowywaniu drinków. Jednak co jakiś czas rzucała okiem na Bena i obserwowała go, a to w czasie ożywionej rozmowy z Mattie, a to przechadzającego się ramię w ramię, ze szklaneczką w dłoni z Joshem. Prosił Bena, żeby dobrze się mną opiekował — pomyślała. W momencie, w którym Ben rzucił hasło do odjazdu, Vichy poczuła, jak ogarnia ją chłód. Poszła powoli do swojego pokoju, by zabrać płaszcz i walizkę z przyborami toaletowymi i nocną koszulę. Rozejrzała się po pokoju, który zawsze uważała za swój, otarła łzy i wyszła zamykając drzwi. Pożegnanie trwało długo i było dość hałaśliwe, ale w końcu Vichy usiadła za kierownicą samochodu. Ben jechał pierwszy swoim Grand Prix. Zaplanowali, że pojedą do motelu po rzeczy i natychmiast wyruszą w drogę do domu Bena. Gdy dojechali na parking, Ben wysiadł ze swojego wozu i ruszył w jej stronę. Vichy uchyliła okno. — Poczekam tu na ciebie.

— Zmieniłem plany — powiedział chłodno. — Jest za późno, by dzisiaj ruszać do domu. Zostaniemy tu na noc i wyjedziemy jutro skoro świt.

— Ale... — Vichy poczuła nagle, że jest bardzo zdenerwowana.

— Jestem zbyt zmęczony, by cię przekonywać — westchnął, otwierając drzwi jej samochodu. — Wsiądź, proszę cię...

Przekonana, że wszelki opór byłby beznadziejny, Vichy wysiadła z wozu, dziękując w myślach opatrności za to, że w pokoju są dwa łóżka.

— Możesz pierwsza iść do łazienki — powiedział Ben, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Vichy otworzyła walizkę, wyjęła to, co było jej potrzebne i wskoczyła pod prysznic. Stała pod nim tak długo, jak to było możliwe. Gdy w końcu wyszła, stanęła jak skamieniała.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ben prawie nagi, ubrany w wąskie slipy odwrócił się od łóżka, na którym właśnie odsuwał kołdrę.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział łagodnie i przyjrzał się jej twarzy. Wskazał gestem łóżko i dodał — Dlaczego się nie położysz.

— Nie będę spała z tobą w jednym łóżku — powiedziała powoli Vichy.

— Dlaczego nie?—zapytał jeszcze delikatniej. — Kiedyś nie miałaś nic przeciwko temu.

— Tak. Dopóki nie przekonałam się, że będę musiała dzielić się tobą z innymi kobietami.

Ben popatrzył na nią uważnie i powiedział zupełnie innym tonem. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli wyjaśnisz mi, o co chodzi.

Sposób, w jaki to powiedział, zmroził ją. Jak długo jeszcze może bawić się niewinnością...

— Czekam, Vichy — zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Przeszedł przez pokój i stanął naprzeciwko niej.

Jego oczy mówiły, że stanie się coś strasznego, jeżeli natychmiast nie padnie odpowiedź.

Vichy poczuła się nagle zupełnie wykończona. Żyła w nerwowej atmosferze przez ostatnie tygodnie, a teraz gdy ich naprawdę potrzebowała, synapsy odmówiły posłuszeństwa. Zaczęła mówić bardzo powoli.

— Byłam mężatką, gdy miałam dwadzieścia dwa lata. Głupie dwadzieścia dwa lata...

— Ale co to ma... — przerwał jej Ben, ale Vichy mówiła dalej, jakby wcale go nie słyszała.

— ... I wiem, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy Bradem a tobą. Obydwaj kochacie hazard...

_ Zaczekaj — Ben próbował zaprotestować, ale z takim samym jak poprzednio skutkiem.

— Byliśmy małżeństwem przez pół roku. Pracowałam wtedy w małych knajpach w Vegas i Brad tak jak ty przychodził na mój ostatni występ.

Aż do tej nocy.

Przerwała i spojrzała na Bena. Jej głos stał się bardziej miękki. — Nie chciałabym was porównywać, ale tak jak ty nie przyszedł na ostatni koncert. I tak jak wtedy w Atlantic City nie byłam tym zaniepokojona — przerwała i uśmiechnęła się smutno. — Różnica polega na tym że nie znalazłam Brada w kasynie, me szukałam go tam nawet. Myśląc, że szykuje niespodziankę z tej okazji, że jesteśmy pół roku po ślubie, pobiegłam do pokoju. Ben zaczął słuchać uważnie słów Vichy.

— Chcąc go zaskoczyć, otworzyłam bezszelestnie drzwi i weszłam do pokoju. W tym momencie moje życie odwróciło się do góry dnem. Palilo się światło, Brad leżał w łóżku, ale nie spał i nie był sam.

Wspomnienie wstrząsnęło jej ciałem i Ben chwycił ją za ramiona.

— Vichy, przestań! ..

Jego palce zacisnęły się mocno, ale z jego reakcji można było wywnioskować, że nie chce jej sprawić bólu. Chce

ją ochronić. . Vichy nie zareagowała, mówiła dalej. — Kobieta była

kelnerką z baru, w którym występowałam. Była piękna. Tam, w łóżku...

— Vichy przestań! — głos Bena spowodował, że spojrzała na niego. Jej oczy były pełne niepokoju i smutku.

— Vichy — delikatnie potrząsnął nią. — Bardzo mi przykro z powodu tego, co przeszłaś, ale nie rozumiem jaki... Powiedziałaś, że różnica polega na tym, że nie znalazłaś Brada w kasynie. Co przez to rozumiesz?

— Znalazłam ciebie.

— Nie rozumiem — potrząsnął głową. — Nie widziałem cię od momentu, w którym powiedziałaś, żebym się wynosił.

— Wiem, ale widziałam cię... — Jej błękitne oczy wypełniły się łzami. — Stałeś przy okienku kasjera i inkasowałeś trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Ale nie byłeś sam. Była z tobą młoda kobieta.

Obejmowała cię, śmialiście się i całowaliście...

— Vichy, na miłość boską, to...

— Gdy zobaczyłam to, przypomniał mi się tamten pokój, tamto łóżko — mówiła dalej monotonnym głosem. — Tylko nie leżał tam Brad. To byłeś ty. Ty, Ben. I poczułam jak to potwornie boli...

— Vichy!

— Nie mogłam tego wytrzymać — splotła ręce, jakby chciała utrzymać je przy sobie. — O Boże, Ben, do teraz nie mogę tego wytrzymać.

— O Boże, Vichy — krzyknął Ben. — Słuchasz mnie, słuchasz? Ta kobieta, to była żona Mike'a, Shelly. Słuchasz? — potrząsnął jej głową w przód i w tył. — Ona i Mike znaleźli mnie w kasynie. Biegali za mną cały dzień. Jeżeli nie uciekłaś, i gdybyś podeszła, mogłabyś zobaczyć, że Mike stoi pół metra obok... Gdybyś tylko podeszła...

— Och, Ben! Nie mogłam wtedy podejść. Nie wyob-

rażasz sobie, co czułam. — Jej szloch przeszedł w gwałtowny wybuch płaczu.

— Też czułem ból — powiedział Ben przytulając ją — gdy powiedziałaś, że jesteś z Markiem Hartmanem. Kłamałaś wtedy?

Szepnęła coś, czego nie można było usłyszeć, ale potrząśnięcie głową było wystarczającą odpowiedzią.

— Kocham cię, Vichy — szepnął Ben. — Nie wiedziałem, co robić, gdy tamtej nocy nie mogłem cię znaleźć. Gdy wróciłem do pokoju i zobaczyłem łańcuszek i bransoletkę, wiedziałem już, że odeszłaś — jego głos załamał się, a dreszcz wstrząsnął całym ciałem. — Myślałem, że zwariuję! A potem szukałem cię bez skutku w Kalifornii... — podniósł rękę i palcami zaczął przeczesywać jej ciemne włosy. — Po tym wszystkim, co powiedziałaś, wiem już, że mnie kochasz. Ale chcę to usłyszeć teraz. — Kocham cię, Ben. Do szaleństwa.

Jednak jej drżące usta powiedziały mu więcej. Z westchnieniem — och, Vichy — pocałował ją. Potem podniósł Vichy i na rękach zaniósł do łóżka. — Przez ostatnie tygodnie zachowywałem się jak szalony — szepnął, kładąc się obok niej. — Nie mogłem spać — ich usta zbliżyły się. Myślałem tylko o tym, abyś była przy mnie.

Dotknął czubkiem języka jej warg, a gdy rozchyliły się zaczął gwałtownie wnikać w głąb. Szepcząc — Pragnę cię... Nie potrafię już żyć bez ciebie. Kocham cię. Wypełnij mnie swoją miłością — smakował słodycz jej ust.

Ręce błędziły po jej skórze, budząc w niej niepohamowane pragnienie i dzikość. Powtarzając jego imię zanurzyła się w szaleństwie, które ogarniało ich z równą siłą. Poczula, że ma mokro między udami. Czas, miejsce i cała reszta świata przestała mieć znaczenie, gdy przyciągnęła Bena i wtuliła się pod jego muskularne ciało. Całując go, obejmując rękami i nogami czekała na ten moment, gdy wreszcie poczuje go w sobie.

Było już późno, gdy zadrżała w jego ciepłych objęciach.

— Jest ci zimno? — szepnął.

— Nie — odwróciła się do niego twarzą. — Boję się.

— Boisz się? — popatrzył w jej oczy zaskoczony. — Czego się boisz?

— Byłam już kiedyś żoną hazardzisty... — westchnęła — trudno wyobrazić sobie życie, wzloty i upadki zależne tylko od szczęścia w grze.

— O czym ty mówisz — Ben zerwał się i usiadł na łóżku. — Nie jestem hazardzistą. Gram od czasu do czasu, dla przyjemności. Życie samo w sobie jest hazardem, Vichy.

— To znaczy, że nie jesteś nałogowym graczem?

— Nie! Do diabła! — Ben nie wytrzymał. — Mówiłem ci, że pracuję. Gdybyś mnie zapytała, powiedziałbym ci, w jaki sposób żyję.

— Ale ja myślałam, że jest to praca bez znaczenia, nieważna. Ot, taka przerwa, gdy przychodzi zła passa w grze.

— Dobry Boże! Nie wierzę swoim uszom! Vichy, jestem naukowcem!

— Kim? — oczy Vichy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— Naukowcem — Ben prawie krzyczał. — Czy nazwa Princeton coś ci mówi?

— Princeton? — powtórzyła mechanicznie. — Ten Princeton?!!

— Ten sam.

— I tam pojedziemy jutro — zapytała z wahaniem.

— Tak.

Vichy rozdziawiła usta, czując się jak skończona idiotka. — I miałeś czas, by pojechać do Atlantic City, dlatego że...

— Dlatego że była przerwa świąteczna.

— Ben! I pomyśleć, że ja mogłam to wszystko zepsuć! Jestem głupia!

— Kocham cię — odparł. — To nie ważne, że jesteś idiotką, dopóki jesteś moją idiotką!
Dom, stojący tuż obok osiedla uniwersyteckiego, był ciemny i cichy. Tylko z dużego okna na drugim piętrze dochodziło światło, mieszające się z ciemną masą liści rosnącego przed domem drzewa. Wewnątrz pokoju panowała cisza, zakłócana jedynie przez miarowe skrzypienie fotela na biegunach i ciche gulgotanie.

Siedząc na bujaku, Vichy spoglądała na swoją małą, piękną córeczkę, która właśnie na swój sposób dawała znać, że jest głodna. Obok niej leżała pusta butelka ze smoczkiem. Vichy uśmiechnęła się i wzięła małą na kolana. Jej buzia natychmiast zwróciła się w stronę piersi, a usta zaczęły szukać sutka. Vichy rozpoczęła karmienie.

— Nie tak prędko, mała świnko — uśmiechnęła się. — Im szybciej idziesz, tym bliżej zajdziesz...
Cichy odgłos spowodował, że zwróciła spojrzenie w stronę drzwi. Stał w nich oparty o futrynę Ben. Ubrany tylko w błękitne jeansy tak opięte, że wyglądały jakby były namalowane na jego muskularnych nogach, przypatrywał się ceremonii karmienia.

Gdy ich spojrzenia spotkały się, Vichy uderzył wyraz jego twarzy. Widziała go już wcześniej, ale gdzie?

— Przepraszam, kochanie, obudziłyśmy cię? — zapytała delikatnie.

— Nie. Obudziłem się i zacząłem tęsknić za tobą. — Spojrzał na swoją córkę i dodał — Wiesz, że jestem o nią zazdrosny.

— Zazdrosny! Nie bądź niemądry!

— Zazdrosny w tym sensie, że odbiera mi część moich praw do ciebie.

Vichy poczuła, jak rumieni się z zakłopotania i jedno-

częściej z przyjemności. Nie wiedziała, dlaczego ciągle tak reaguje. Znała Bena dobrze i miała pewność, że mówi zawsze to, co myśli. Był otwarty i uczciwy.

Oczywiście, w ciągu ostatnich miesięcy, zdążyła nauczyć się o nim o wiele więcej. Łagodne, delikatne słowa miłości odezwały się w jej świadomości.

— Kochanie, ona ma prawo tylko na krótki czas, ty masz na całe życie. Spojrzała jeszcze raz, ale wyraz twarzy Bena nie zmienił się. W tym momencie uświadomiła sobie, gdzie to już widziała. W ten sposób patrzył mąż Mattie, gdy był pewien, że nikt go nie obserwuje. Twarz wyrażała absolutną adorację.

Zaskoczona tym odkryciem, Vichy zaczęła się przypatrywać Benowi uważniej. Jego twarz, oceniła, wyrażała więcej niż adorację i miłość. Przedstawiała zupełne zjednoczenie serc, dusz i umysłów. Łzy zakręciły się jej w oczach. Ben nie mógł tego nie zauważyć.

— Jesteś szczęśliwa, kochanie? — zapytał, podchodząc do niej.

— Boję się — odparła cicho Vichy — że jeśli spotka mnie jeszcze trochę szczęścia, to eksploduję na milion kawałków radości. Ben roześmiał się i pochylając nad Vichy pocałował ją delikatnie w usta.

— Sam nie potrafiłbym lepiej ubrać w słowa swoich uczuć.

KONIEC